Rok III. Luty — Marzec 1918. Nr. 2 i 3.

ROK POLSKI

CZASOPISMO POŚWIĘCONE ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO.

WYCHODZI W KRAKOWIE RAZ NA MIESIĄC.

WYDAWCA i REDAKTOR: PROF. Dr. *AUGUST BALASITS.*

TREŚĆ:

Prenumerata roczna 24 kor., za półrocze kor. 12. — Cena numeru pojedynczego 2 kor. 50 hal. (2 marki 50 fen.).— Prenumeratę przyjmuje Bank Oszczędnościowy w Krakowie, Mały Rynek 4. (Czek P. K. O. 139.429.), gdzie należy zwracać się w sprawach redakcyjnych.

Adres administracyi: Ulica Mikołajska 13, Drukarnia Związkowa. — Zastępstwo na Rzeszę niemiecką: Księgarnia M. Niemierkiewicza w Poznaniu.

Luty, Marzec 1918. **ROK POLSKI** Rok III. Nr. 2 i 3.


83

Walka o ujście Wisły.

Oddawna zrozumiały narody, jak wielkie ma dla nich znaczenie wolny dostęp do morza. Bez morza naród się dusi, obumiera, niema oddechu ku dalekim stronom świata. Narody, które wybrzeża morskie opanowały, stają się zwierzchnimi panami tych narodów, które się dały od morza odgrodzić. Zupełnie jasno zdawali sobie z tego sprawę dawni Polacy. Tak jeden z naszych wybitnych pisarzy politycznych, Solikowski pisze w r. 1573:

„Chociem prostak, wiem to i wiedziałem zawżdy, iż każdemu panu i narodowi, więcej na morskiem państwie należy niżeli na ziemskiem, bo i większe i prętsze pożytki morzem niżeli ziemią i większe i prętsze szkody a niebezpieczeństwa przychodzą. Dlatego kto ma państwo morskie a nie używa go, albo je sobie da wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim, z swego cudzym, z pana kmieciem [1]).

Tymczasem nietylko to zrozumieli, ale i daleko energiczniej od nas do zapasów — o to morze zabrali się nasi sąsiedzi. Z mieczem w ręku zatamowali nam przystęp do morza najpierw Krzyżacy, a gdyśmy ich zmogli, wówczas tę samą myśl podjęła dynastya Hohenzollernów, aż uwieńczył te wysiłki Fryderyk II, gdy przy pierwszym rozbiorze wyrwał Polsce wybrzeża Prus zachodnich. Podobnież cała wielkość Piotra Wielkiego tkwiła nie tylko

---

[1]) Czubek, Pisma polit. 479. Podobnie wyrażała się królowa Anna, polecając wybór Zygmunta III i unię szwedzko-polską: „Wiedzą W Mciowie jako wiele na tem zależy liberum dominium maris, bez którego słabe są największe państwa a najmniejsze państwo morską wolnością i państwem portów ku górze się wynosi". Ms. Ossolin. 2284 f. 29.

w zrozumieniu znaczenia wolnego dostępu do morza, ale i zrealizowaniu tych planów w chwili, gdy wybił okno na Bałtyk i — założył Potersburg. Plany te były marzeniem wielu pokoleń moskiewskich. Do tego kąta północnego, do tej zatoki fińskiej Moskwa rwała się oddawna, raz wraz wyciągał rękę Iwan Groźny po Narwę, przeciskał się ku „nawigacyi narewskiej" i staczał boje z Polską, która starała sie nie dopuścić swej rywalki Moskwy, do morza.

Wspomniany Solikowski [1]) wskazywał współczesnym, że Polska nie może dopuścić Moskwy do Narwy, gdyż przez port narewski kniaź moskiewski dostanie z Europy broń i amunicyę i gotów wziąć górę nad Polską. Solikowski dowodził, że Polska powinna dbać więcej o swój port gdański a zniweczyć narewski i tak dodawał: „W ciele człowieczem oko jest członek najważniejszy ale najszlachetniejszy, tego gdy niemasz, człowiek wszystek stawa się niepotrzebnym bałwanem. Tak i Korona dawszy sobie skazić port gdański, to oko, którem patrzy na wszystek świat, nie co innego będzie, jeno gburstwo (niewola) a oractwo cudze, a k'temu niedostatek, o grosz (wówczas będzie) trudno. Widzimy i teraz, z jakim interesse (na jak wysoki procent) pieniędzy (ludzie ledwo) dostawają, bo ówdzie się skaziło, gdzie były wrota majętności naszych, (tj. w Gdańsku), nic nie przybywa a przedsię na każdy rok jednako wszystkiego z Polski ubywa... Więc tym szerokim upustem stok się przebrał, który stok kazi nam moskiewski port Narwa z Iwangrodem, gdzie jeżdżą Francuzowie, Angielczykowie, Niderlandowie, miasta Anzae wolne a król duński (w cieśninie Sundzkiej) wszystkie glejtuje, jako ten, który jest wrotnym wschodniego i zachodniego morza. Przy którym porcie (narewskim) tracimy państwo morskie, na dwieście mil brzeg swój mając, z wieczną sromotą naszą i z wieczną skazą".

Na tem tle rozumiano w Polsce znaczenie Gdańska, jako głównego portu Rzptej, ale tem nie mniej nie omieszkano dokładać starań, aby ten port w istocie ściśle z Polską związać, aby to „oko" było jak najmniej obcem ciałem a jak najwięcej z Polską zespolonem i zjednoczonem.

---

[1]) Czubek, Pisma, l. c.

Wcześnie bowiem zrozumiano, że jak wyrażał się później znany minister Królestwa Kongresowego, Lubecki: „U bram naszych mamy niestety prawdziwego Cerbera, co broni wejścia i wyjścia“. [1]) Cerber był zupełnie samowolnym i nie chciał znać pana domu. Gdańsk ssał soki z Polski i nią się tuczył, ale o nią nie dbał. Był jej pasożytem.

To też polscy politycy XVI wieku bardzo wcześnie dostrzegli te separatystyczne zakusy Gdańska. Głośny poeta Mikołaj Rej na sejmie (w styczniu 1559) upominał w imieniu izby poselskiej króla i senatorów „aby opatrzyli pruskie miasta i zamki, którzy się z tem nie tają, że nie radzi są pod posłuszeństwem Polakom a zwłaszcza Gdańsk, bo i tu teraz jest pleban gdański, który przed niektórymi z nas posły nieraz powiedział (i napomniony o tem, aby się baczył, co mówi, powtarzał) że gotów to wszędy zeznać, iż Gdańszczanie jawnie o tem mówią, żechmy my (Gdańszczanie) nie powinni nic Koronie polskiej, bośmy są ludzie wolni, nie dobyto nas mieczem, aleśmy się dobrowolnie poddali królowi polskiemu, którego gdy nie stanie, możem sobie obrać pana, albo poddać się komu chcemy, gdyżeśmy są ludzie wolni“.

W słowach Mikołaja Reja drży obawa, aby po śmierci ostatniego Jagiellona Gdańsk w razie elekcyi nie oderwał się od Polski. Obawa okazała się słuszną, gdyż w istocie ta republika kupiecka skorzystała ostatecznie z bezkrólewia i podniosła bunt przeciw królowi Stefanowi Batoremu, opowiadając się po stronie cesarza Maksymiliana II.

Nie można powiedzieć, aby sztachta polska odrazu zrozumiała całe niebezpieczeństwo tego buntu. Ospała i gnuśna nie okazała początkowo interesu nawet dla swego zboża, które Wisłą spławiała do Gdańska. Sejm toruński rozszedł się na niczem a król-wojownik wobec zbuntowanego miasta znalazł się bez broni i pieniędzy. Aby tę szlachtę zelektryzować, król wysłał instrukcyę na sejmiki powiatowe, w której Polaków przekonywał o ważności problemu i tak im grozę położenia przedstawiał:

„Gdańszczanie będąc pod posłuszeństwem koronnem, zbogaciwszy się a prawie jako wieprze utuczywszy, z majętności jej (korony) pany się poczynili a nas pomamili a już ci zaledwie rzeczą

---

[1]) Smolka, Potityka Lubeckiego I 191.

samą (choć nie nazwiskiem) dowiedli tego byli praktykami swemi, że naszymi pany byli, ponieważ wszystkie zboża, towary, majętności dochodów naszych w ręku swych mieli, szacując to jako chcieli i podawając do ludzi na świat jako rozumieli, z najlepszym pożytkiem swym a szkodą i wieczną sromotą nas. A teraz już czas przyszedł, P. Bóg za ich pychę i złość chce ich pokarać, iżby byli w swej hardej myśli uskromieni i do ich powinności przywiedzeni, to jest, aby się czuli być poddanymi koronnymi członki jej zgodnymi a pożytecznymi, nie tyranami szkodliwymi... Przodkowie W M. za dawnych czasów od króla Łokietka o ten Gdańsk i wszystkie pruskie ziemie wielkie trudności i kłopoty podejmując a krew swą często dla nich przelewając, strzegli tego pilnie, aby to miasto i te wszystkie kraje całe przy Koronie stały, jakoż tego za Łaską Bożą dowiedli". [1])

Więcej może niż ta instrukcya zelektryzowała szlachtę wieść o pierwszem zwycięstwie oręża polskiego nad Gdańszczanami. Oto u jeziora Lubieszowskiego Jan Zborowski rozgromił wyprawę Gdańszczan. Na samem pobojowisku naliczono zabitych Niemców 4416, jenców 1000. Pozatem śród lasów kaszubskich i pomorskich [2]) zbiegłych „Niemców... sami szlachta i chłopi (Kaszubi) onego kraju bili, imali tak że wszędy między gorami pełno trupów leżało... one Niemce zbierali po górach i dąbrowach tak jako grzyby". [3])

Zwycięstwo Jana Zborowskiego stropiło butnych Gdańszczan, a pobudziło do ofiarności szlachtę i duchowieństwo. Sejmiki uchwaliły pobory, a król ruszył pod Gdańsk i rozpoczął oblegać „Wenecyę północy".

Całe wybrzeże nadbałtyckie daleko na zachód zainteresowało się i dało wciągnąć w tę walkę toczącą się pod murami Gdańska. Szkoci, Duńczycy, Holendrzy dawali się werbować Gdańszczanom. Flota duńska wspierała Gdańsk. Knechty aż od Kołobrzegu spieszyli Gdańskowi z pomocą. Tak Piotr Kłoczewski starosta małogoski pisze [4]) do głośnego Kromera, biskupa warmińskiego:

---

[1]) Ms. Czartor. 1617 str. 226. Instrukcya dana w Włocławiu 1 IV 1577.
[2]) Silvas Kassubicas et Pomeranicas. Łasicki, Clades str. 35.
[3]) Poprocki, Herbarz (Jan Zborowski).
[4]) Ms. Czartor. 1617 str. 301, 5 VII 1577 ex castris ad Gedanum.

„Jeździłem tem czasy do książąt pomorskich admonendo pactorum et conventorum, ut transitum inimicis Regni prohibeant, że w Kolberku wsiadło było coś knechtów, żeby tego przestrzegli, jakoby pactis et conventis dosyć się działo. Na co Joannes Fredericus opowiedział, że o tem nic nie wie a że chce iterum renovare et publicare edictum, aby żaden ab Gedanensibus non militarat, magistratum też Kolbergense chce punire, w czem ad ducem Kasimirum, pod którem to miasteczko jest, pisać miał. Venetowie Septentrionales wzięli nam teraz coś strzelby u Laterny".

O tę to Latarnię tymczasem toczyły się najzawziętsze boje. Latarnia czyli Wisłoujście była to silna forteczka gdańska tuż nad morzem. Aby odciąć miastu dowóz żywności i dostęp do morza, król chciał ją zdobyć koniecznie i przypuszczał do tej forteczki atak po ataku. Zaciekłość szturmów jakby wskazywała, że w obozie królewskim odczuwano, jaką wagę dla całej Rzptej ma ta forteczka nad samem ujściem Wisły, kneblująca Polsce oddech i przystęp do morza. Niestety zbyt król liczył na jedno: na wierność tych oddziałów niemieckich, które służyły pod jego sztandarem. Nie dopisała „wierność" Nibelungów. Zdrada ujawniła się na samym początku walk pod Latarnią, w dezercyi knechtów niemieckich a głównie dowódcy bateryi [1]) a przypieczętowaną została w koncu przejściem sześciu chorągwi niemieckich, które Gdańszczanie zresztą nie zoryentowawszy się przywitali takim ogniem, że ledwo 30-tu z nich zostało. [2])

Równocześnie król probował w inny jeszcze swosób podciąć byt buntowniczego miasta. Oto postanowił w miejsce Gdańska podnieść Elbląg. Wisła jak wiadomo rozwidla się przy ujściu jakby w deltę, nad jedną odnogą leży Gdańsk, nad drugą Elbląg. Temu Elblągowi król nadał teraz cały szereg handlowych przywilejów a równocześnie zamyślał osuszyć gdańską odnogę (Leniwkę) a główne koryto Wisły zwrócić ku Elblągowi. Naładowano kamieniami trzy statki i zatopiono na Wiśle gdańskiej. „Leniwkę tamują, żeby do Gdańska nie szła" pisze Piotr Kłoczewski do Kromera. [3]) Król zamyślając rozszerzyć przystań elbląską, polecił temuż Kłoczew-

---

[1]) Archiwum p. Zamoyskiego I Nr. 142.

[2]) Korzon, Dzieje wojen.

[3]) Ms. Czartor. 1617 str. 323, 19 VII 1577.

skiemu dokonać pomiarów wody wiślanej i zatoki fryskiej i dodawał: „Wszystkie nasze projekty i cała nasza działalność opierają się na tem zagadnieniu, czy w tem miejscu (tj. Elblągu) da się założyć nowy port“. [1])

Ale Gdańsk zrozumiał dobrze, jak groźne dlań były te plany elbląskie i w odpowiedzi na nie poszukał ratunku w Danii. Wnet gdańskie i duńskie okręty pod wodzą admirała duńskiego wtargnęły do zatoki fryskiej, splądrowały Elbląg, zdołały zastanowić wejście do rzeki Elbląskiej i w ten sposób przeszkodziły uformowaniu się tu głównego ujścia Wisły.

Tymczasem ze zbliżającą się zimą dało się odczuć ogólne znużenie. Mieli dość wojny Gdańszczanie, ale miała jej dość i szlachta. Zboże zebrane jesienią nie miało nabywców. Pod koniec września pisze ksiądz Tomasz Płaza z Krakowa: „Zboże bardzo tanie, niemasz skąd wziąć pieniędzy, oprócz zboża wszystkie rzeczy drogie... Nędzy dosyć“. [2]) Szczególnie szlachta bliższa terenu wojny narzekała. Okręty duńskie pustoszyły okolice Pucka tak, że szlachta tamtych okolic zarzucić musiała żniwa i stać na czatach. Więc sama zaczęła się starać o pokój i pośredniczyć między królem a Gdańskiem. W koncu rolę mediatorów wzięli na siebie posłowie Rzeszy niemieckiej, po dwu miesiącach targów doprowadzili do ugody i skłonili Gdańszczan do przeproszenia króla i zapłacenia kontrybucyi. (16 grudnia 1577).

Nauczka, jaką dał król Batory Gdańszczanom, poskutkowała o tyle, że odtąd to miasto będzie wierne Rzptej aż do końca. Tem niemniej sprawa pruska nie wyglądała na detinitywnie zakończoną, owszem zdawała się raczej jakby tylko pospiesznie i ladajako załataną. Nie trzeba bowiem zapominać, że owi pośredniczący posłowie Rzeszy załatwili tu równocześnie inną sprawę, dla której głównie przybyli a mianowicie sprawę Prus wschodnich (opieki nad obłąkanym księciem pruskim). W chwili gdy Polska docierała do ujścia Wisły, zjawili się posłowie Rzeszy, którzy przeforsowali projekt, w którym tkwiło w zalążku przyszłe połączenie Berlina z Królewcem...

Tych reprezentantów Rzeszy niemieckich król nie chciał sobie zrażać w tej chwili, gdyż równocześnie szła na Polskę burza

[1]) Behring, 6.
[2]) Ms. Czartor. 1617. str. 357

od wschodu. Iwan Groźny rzucił się na Inflanty i śród strasznych zagonów torował sobie drogę do Bałtyku. Ogarnęła Polaków obawa, że Iwan Groźny gotów nietylko stanąć silną nogą w Narwie, ale także zająć inne porty inflanckie i opanować Bałtyk[1]). W takim razie port gdański straciłby na znaczeniu. Czyż więc nielepiej jak najszybciej pogodzić się z Niemcami pruskimi i pospieszyć przeciw Iwanowi Groźnemu, który gotów jeszcze drogą na Inflanty oderwać samą Litwę [2]) od Polski? Czyż można było być nieczułym na prośby Niemców inflandskich, którzy przybyli w poselstwie do króla błagając go, aby zawarł pokój z Gdańskiem i spieszył im na ratunek? I król nie dokończywszy dobrze sprawy u ujścia Wisły, podążył na daleki wschód, aby osłonić Baltów niemieckich przed iście Neronowem plądrowaniem Iwana Groźnego.

Co prawda znajdywały się wówczas w Polsce głowy, które bardzo krytycznie zapatrywały się na ten pokój gdański i pytały, czy słusznie jest iść bronić Dźwiny, gdy się jeszcze ujścia Wisły nie jest pewnym... Tak zastanawiał się nad tem, jeden z najmądrzejszych ówczesnych Polaków, głośny parlamentarzysta, Mikołaj Siennicki, podkomorzy chełmski, największy syn Chełmszczyzny, który pisał (27 września 1578) do Jana Zamojskiego:

„Nielada jakiej deliberacyi będzie trzeba na odprawę posłów moskiewskich. Jeśliże z nimi co zacząć ku niepokojowi, który wie to P. Bóg, jakoby się rychło uciszył? Jeśli też w *Prusiech pierwej uspokoić sobie wszystko*, bo bez tego nie wiem, by nam pożyteczno było, byśmy też najlepiej Inflantów bronili, albo co tam odebrali, gdyby nam oto ci gotowi (Niemcy pruscy), (o które wiele się krwie polskiej od dawnych czasów wylewało, nim do jakiego takiego uspokojenia z nimi przyszło) wyśliznąć mieli. Nać (na to) zawżdy pilno czychają, bo ich to boli, że pod polską sprawą są. I teraz nielada jakie indicia tego pokazują, gdy uchwały sejmowe w niwecz obracają a wszystkie inaczej sobie stanowią, wybijając się z zwierzchności królewskiej. Czemu wszystkiemu jeśli naprzód nie zabieżycie WMciowie, próżno się tam z Moskwą za-

---

[1]) Ms. Czartor. 1637 str. 81 „Si Moschus reliquos Livoniae portus occuparit et in mare Balticum eruperit“ (Król Stefan do Kromera 3 III 1578).

[2]) Solikowski do Kromera Ms. Czart. 1617 str. 415, 27 XI 1577. W pięknym liście wyraża jednak żal z powodu pokoju z Gdańskiem i dodaje: „O tempora! o peccata... quae peccavit Polonia, quae non sentit, nisi sentiat poenas, hae nobis aperient oculos“

wodzić ma... Przetoż... trzeba, aby wżdy albo z tymi (Niemcami) albo z owemi (Moskalami) stateczny pokój był, a nie z obiema się razem zawodzić“ [1]).

Jak widzimy podkomorzy chełmski wskazywał, że ważniejszy węzeł tkwi u ujścia Wisły aniżeli u ujścia Dźwiny i nad Wołgą. Rozumiał, że tu tkwi zasadniczy warunek bytu państwa polskiego. Rozumiał to bardzo dobrze tak mądry, choć tak nam wrogi jak Bismarck. Bismarck więcej niż kto inny mógł zastanawiać się nad morskim problemem państwa polskiego, bo sam był junkrem pomorskim, a i jego żona pochodziła z okolic sąsiadujących z kaszubami — jak pisał „pogańskimi“: „tuż przy Polsce, Bytow [2]) jest najbliższe miasto, słychać w nocy jak wilki i kaszubi wyją“. Pomorski junkier nie mógł zapomnieć o tradycyach walk polsko-niemieckich o dostęp do morza, w swych przemowach przestrzegał, że Polska nie omieszka wznowić swych usiłowań dotarcia do morza, a na dowód wskazywał (w mowie z 28 stycznia 1886), że Polacy już w r. 1848 zażądali „*Pommern so gut wie Pommerellen*“. Bismarck niejednokrotnie ostrzegał Niemców, że państwo polskie nie może obyć się bez Gdańska i że dlatego w razie powstania państwa polskiego największe niebezpieczeństwo groziłoby Niemcom Prus zachodnich. Żelazny kanclerz najdobitniej ujął swój pogląd na tę sprawę w przemowie, jaką wypowiedział do deputacyi Niemców z Prus zachodnich 23 września 1894. Mówił tak:

„Gdańsk dla polskiego państwa, koncentrującego się w Warszawie, jest jeszcze bardziej naglącą potrzebą aniżeli Poznań. Poznań (pomyślą sobie bowiem Polacy) im nie ucieknie, bo tam jest ich arcybiskup, ale Gdańsk to jest pierwsze miasto, które przedewszystkiem musi państwo warszawskie zająć na wybrzeżu morskiem i nie spocznie, aż tego dokona. Jeśliby nas Niemców spotkał pogrom w Europie, to wy Niemcy zachodnio-pruscy będziecie w Gdańsku jeszcze bardziej zagrożeni, aniżeli w Poznaniu“ [3]).

---

[1]) Archiwum J. Zamoy. I. Nr. 246. Podzielał zdaje się jego zdanie i ten, do którego pisał tj. Jan Zamoyski. Jan Zamoyski bowiem będąc swego czasu rektorem padewskim i na tym urzędzie stykając się jak mało kto z rządem weneckim poznał, jak wielką rolę w życiu narodów odgrywa morze. W tej to myśli popierał też tak energicznie po śmierci króla Stefana unię ze Szwecyą i wybór Zygmunta III. Por. Szelągowski, „Walka o Bałtyk“.

[2]) Miasto znane z układu welawsko-bydgowskiego 1657.

[3]) Koch, „Bismarck über Polen“, 1913, 136.

W. Sobieski.

Sprawa polska na Litwie i Białej Rusi.

Losy wojny oddały pod władanie Niemiec nie tylko ogromną część Królestwa Polskiego z jego naturalną stolicą Warszawą, ale także Litwy i Białej Rusi z Kownem, Grodnem i Wilnem jako ośrodkami życia polskiego na ziemiach etnograficznie odrębnych, ale związanych z Polską wspomnieniami historycznemi, kulturą warstw wyższych i średnich, wreszcie religią, jako najżywszym wyrazem łączności tych stron ze stronami niewątpliwie polskiemi. Najnowsze wypadki dodają do tego władania Mińsk, dodadzą może Witebsk i Mohilew.

Całość historycznej Litwy i Białej Rusi wstępuje w ten sposób w okres zależności od Niemiec. Spełnia się to, co przeczuwano jeszcze przed wojną, co postawiła sobie za zadanie wojenna polityka niemiecka na początku wojny. Jeżeli w Królestwie Polskiem Austro-Węgry usuwają się zwolna z widowni, by zwracać oczy, jak to zamierzały na początku wojny, raczej ku Bałkanowi i Ukrainie, to na Litwie i Białej Rusi nie mają już żadnego wpływu. Całość tych rozległych obszarów pozostaje pod zarządem najzupełniej oddzielonym od warszawskiego i lubelskiego a wycinającym nawet z Królestwa Polskiego litewską część Suwalszczyzny.

Znajdujemy się więc w obszarach, które wola okupanta poczyna urządzać, przynajmniej teoretycznie, w duchu zasady etnograficznej.

Wiadomo zaś, że żywioł polski rozpościera się na Litwie i Białej Rusi na linii Białystok, Grodno, Wilno, Dynaburg, także na linii Kowno, Mińsk. Rozrzucony wśród żywiołu litewskiego, zwłaszcza na jego wschodnich granicach i białoruskiego, z którym dzieli wiarę a nawet, jak to ma miejsce poza Suwalszczyzną i Kowieńszczyzną, także język zwłaszcza w kościele, stanowi ten żywioł nawet bez litewskiego czynnik historycznie, ekonomicznie, kulturalnie dominujący.

W trzech powiatach Białostocczyzny, a mianowicie w Sokólskim, Białostockim i Bielskim stanowi on większość etnograficzną, która musi być złączoną z Królestwem Polskiem. W powiatach Grodzieńszczyzny, jak Grodzieński i Wołkowyski stanowi, łącznie z białoruskim, poważną większość, we wschodniej Wileńszczyźnie, jak powiaty Wileński, Święciański, Dzisieński, Oszmiański, Lidzki, większość bezwzględną.

Jeżeli teraz, wracając do etnograficznej Litwy, przyjmiemy za jej środek Kowno, to natomiast Wilno, Grodno, Mińsk z wyłączeniem Białego Stoku, którego okolice uzupełniają jedynie czysto polskie strony Augustowa i Łomży, wyrażają całość związaną kulturalnie a nawet językowo z państwem polskiem w dorzeczu Wisły, Warty i Odry. Im dalej na południe i wschód od trójkąta utworzonego przez te trzy czysto polskie miasta, tam bardziej słabnie ta całość w kierunkuKowna i Suwałk, Brześcia i Pińska, Bobrujska, Mohilewa i Witebska. Żywioł polski ustępuje na zachodzie litewskiemu, na południe małoruskiemu, na wschód białoruskiemu za Ptyczą, a zwłaszcza Berezyną i nad górną Dźwiną. Za temi rzekami przeważa wśród żywiołu białoruskiego prawosławie, gdy znowu na północy koło Dynaburga żywioł łotewski grawituje ku polskiemu.

Innymi słowy, obszary poza Berezyną wiążą się już tylko słabo z całością Litwy i Białej Rusi. Więź kulturalna oparta na religii nie istnieje tu wcale, a masy włościaństwa i zbiałoruszczonej drobnej szlachty stanowią przygniatającą większość, której nie zrównoważy odosobniona wyspa polskości koło Witebska i Orszy. To, co jest na zachód od Berezyny, a opiera się na południe

o Prypeć i na północ o Dźwinę, wiąże się szerokim pasem od Grodna do Brześcia z Polską, która granic dotąd nie posiada, a zgodnie z pamiętną uchwałą majową powinna objąć dorzecze Wisły od źródeł do ujścia, nadto Warty, częściowo górnej Odry i górnego Dniestru.

Niestety zasada etnograficzna nie znajduje zastosowania już przy rozgraniczaniu obszaru litewskiego. Oto okupant, chcąc zapewne pomódz nowemu imperyalizmowi, pochlebił nacyonalistom litewskim i zaliczył do obszaru litewskiego także Wileńszczyznę bez Dzisny i Wilejki, a nadto skrawki przyległej Grodzieńszczyzny i Witebszczyzny. Obszar nowego państwa, którego narzuconą głowę stanowi rada krajowa litewska, obejmuje także powiaty z ludnością polską i białoruską. Ten obszar mieściłby 4 miliony ludzi, z których połowę stanowią rdzennie Litwini Suwalszczyzny i Kowieńszczyzny, a drugą połowę rdzenni Polacy i Białorusini o kulturze niewątpliwie wyższej od narzuconych im z zewnątrz władców.

Imperyalizm litewski ma więc przeciw sobie żywioły silne liczbą, pochodzeniem, dążeniami. Te żywioły wzrosły dziś jeszcze po zajęciu reszty historycznego terytoryum Litwy i Białej Rusi. Żywioł polski dominujący też tradycyą polityczną stoi na stanowisku niepodzielności tych obszarów, a zasada, jaką się kieruje, jest właśnie zasada etnograficzna, naruszona przez powolnego podszeptom nacyonalistów okupanta. Ten żywioł nie życzy sobie dzielenie tego, co złączyła historya, kultura, religia, ten żywioł wierzy, że jedynie wspólne porozumienie czynników społeczeństwo składających może mu pozwolić przetrwać czas przejściowy i osiągnąć prawdziwą niezależność i pomyślne warunki rozwoju.

Ale polityka w najwyższym stopniu niepopularnej wśród ludu rady litewskiej idzie drogami, od dróg polskiego żywiołu najzupełniej różnemi. Nie tylko nie uznaje ona innych narodowości w granicach już określonych, ale i nie dba o to, czy państwo litewskie będzie stykać się terytoryalnie z państwem polskiem, co chyba pierwszemu nie wyszłoby na szkodę. Wiadomo także, że prócz rady litewskiej jako rządu krajowego istnieją jeszcze dwa rządy emigracyjne w Petersburgu i Szwajcaryi. Nie przeszkadzają one sobie zapewne, jak to dzieje się w Polsce, żaden z nich jednak nie uświadamia czynników zewnętrznych w sposób dla państwa polskiego korzystny. Że jednak niepopularność rady wzmaga

się, ratuje ona resztki powagi ogłoszeniem niepodległości bez porozumienia z okupantem.

I teraz jednak zwraca się przeciw państwu polskiemu, gdyż wyrzeka się dawnych związków państwowych, a odwołuje do konstytuanty, która ma rozstrzygnąć o stosunku nowego państwa do państw ościennych. Jest to rozpaczliwy krok nacyonalizmu, który czuje swą słabość we własnej siedzibie i pragnie za cenę zerwania z Polską otrzymać prawo rządzenia przy pomocy czynników zewnętrznych. Zachodzi więc fakt nieznany w dziejach. Oto naród, który zajął kiedyś rozległe obszary obcoplemienne i związał się dobrowolnie z państwem polskiem o wyższej kulturze i postępowszych politycznych urządzeniach, gotów zrzec się tych okszarów i zamknąć w ciasnych granicach, byle pozwolono mu pochłonąć połowę pozostawionej mu ludności obcej.

Nie rozumie, że posiadając poza granicami swego rzekomo niezależnego państwa miliony ludu białoruskiego z silną domieszką polszczyzny znajdzie w pozostawionych żywiołach obcych gotową iredentę i zagrozi w ten sposób bytowi ledwo stworzonej a sztucznej całości. Inaczej zaś brzmi zasada sprawiedliwości dla wszystkich narodów i prawa współżycia na równych warunkach wolności i bezpieczeństwa. W odpowiedzi na nią uznał i kanclerz Hertling w mowie z 25 lutego b. r., że nie jeden lud, ale ludy na Litwie mają o sobie postanawiać. (Es gilt den Bevölkerungen jener Länder Organe der Selbstbestimmung und der Selbstverwaltung zu schaffen oder die schon im Ausbau begriffenen zu stärken). Powyższe słowa kanclerza nie odpowiadają bynajmniej stanowi rzeczy na Litwie i Białej Rusi.

Nie uznaje się bowiem istnienia kilku ludów na tych obszarach. Te ludy, będąc od wieków związane historyą, kulturą, religią, nie posiadają dotąd głosu rozstrzygającego. Na ogólną liczbę 12 milionów mieszkańców dano go dotąd tylko 2 milionom, stanowiącym jakby pomost w pochodzie ku Kurlandyi, Inflantom i Estonii.

Wybory do rady, będącej wyrazem woli tych ludów stwierdziłyby, że główną rolę odgrywa na nich nie żywioł litewski, ale polski i białoruski. Nie sądzę, by ten ostatni, o ile wyznaje wiarę katolicką i używa języka polskiego jako obrzędowego, należało utożsamiać z polskim. Przeciwnie należy dać każdemu narodowi prawo wypowiedzenia się. Taka polityka jest ze stanowiska pol-

skiego godna jego historycznej przeszłości. Taka polityka odpowiada też zasadzie sprawiedliwości wygłoszonej przez Wilsona a uznanej przez kanclerza Niemiec.

Zaczynając od żywiołu litewskiego, wypadałoby uznać, w imię tej zasady, jego autonomię prowincyonalną w granicach etnograficznych. Gdzie granice te, jak koło Lidy, Trok lub Jezioros są zbyt poszarpane, należałoby zapytać ludności, której grupie etnograficznej chce podlegać. Dwumilionowa rzesza litewska z Kownem jako duchowem środowiskiem otrzymałaby w ten sposób zadatki pomyślnego rozwoju. Co się tyczy żywiołu białoruskiego, to, po wydzieleniu Białostocczyzny, objąłby on obszary rozległe, a podzielone na dwa terytorya. Na zachód od Berezyny, Białoruś katolicka utworzyłaby prowincyą z Wilnem, Grodnem, Mińskiem jako ośrodkami swego życia duchowego i czteromilionową ludnością o kulturze przeważnie polskiej.

Białoruś prawosławna miałaby przewagę żywiołu białoruskiego, a Witebsk i Mohilew jako ośrodki duchowe. Żywioł polski spada tu do małego procentu z wyjątkiem powiatu Sieńskiego i Orszańskiego. Jeżeli jednak chodzi o stan posiadania ziemi, to i tu jest on pomyślny i wynosi, jak w dwóch poprzednich obszarach czyli w litewskim i polsko-białoruskim, około połowy całego terytoryum. Wszystkie trzy obszary obejmowałyby wspólne granice państwa z Wilnem jako stolicą równie pożądaną przez Litwinów jak i Białorusinów. Grupa żydowska stałaby się, jako najmniej liczna, przedmiotem asymilacyi. Grupa łotewska na północy i małoruska na południu musiałaby otrzymać prawa językowe w zarządzie i szkole.

Nastała dziś bowiem chwila, w której wpływy rosyjskie przestały wysuwać litewskość i białoruskość przeciw polskości. W miejsce ugody z Rosyą musi wystąpić idea ugody z miejscowym i osiadłym od wieków żywiołem polskim. Znakiem tej ugody byłoby Wilno. Jądrem Litwy i Białej Rusi nie jest bowiem żywioł litewski ale polski. Wszelkie inne rozwiązanie byłoby objawem ślepego na rzeczywistość i ulegającego wpływom okupanta, jak dawniej Rosyi, nacyonalizmu. Wiadomo, że za czasów przedwojennych, poczytano nawet Białorusinów za Litwinów, gdyż zaludniają oni obszary z nazwami litewskiemi jezior, rzek i miejscowości. Narodu nie ocenia się jednak wedle nazw, gdyż w takim razie okolice wielkopolskiego Posen lub Hohensalza, małopolskiej

Lanckorony lub Tymbarku należałoby też uznać za niemieckie. Co było objawem podnieconego zewnętrzną agitacyą szowinizmu, nie może pozostać wytyczną w czasach wielkich.

Polskość na Litwie i Białej Rusi jest dotąd najpotężniejszym przewodnikiem kultury i pomogła zwłaszcza białoruszczyźnie do wydobycia się z nizin ciemnoty. Od upadku wpływów rosyjskich praca ta wzrośnie przez kościół, szkołę, czynnik obywatelski. Wszakże katolicki żywioł białoruski odrzucił nawet kiedyś własny język w nabożeństwie dodatkowem jako propagandę prawosławia. Czy można przypuścić, by o niego dziś się dopominał, gdy przed wojną poczytywał go za zepsuty polski? Ten lud nieświadomy siebie należy jednak uświadomić w duchu łączności z żywiołem polskim. Inaczej stanie się narzędziem intryg i kultury obcej, jak to dzieje się z poleskim żywiołem małoruskim. Dziś ujawnia się siła polskości w kraju, gdzie jedynie zasada sprawiedliwości może rozwiązać wszelkie trudności.

Z jej zwycięstwem powróci zwycięstwo tej zasady, która połączyła kiedyś dwie dzierżawy Jagiellonów. Nie działała wtedy zbrojna przemoc, ale idea. Ona stworzyła z dwóch społeczeństw jedno, gdyż groziło ze wschodu niebezpieczeństwo moskiewskie. Ona musi dokonać dziś tego samego w podobnej tamtej chwili. Tu nie chodzi bowiem o kolonizacyę, ale o ogólny interes całości. Niech nie cieszą się ci, co pragną dzielić i rządzić! Dziś jedynie układ polubowny ma znaczenie. Z punktu widzenia etyki, historyi, zasady samostanowienia, jest on do polecenia i na czasie, jak przed półczwarta wiekiem.

Tadeusz Grabowski.

Polacy XVI. wieku o swoich sąsiadach.

„Do tak ślachetnych ludzi i natur polskich to jest rzecz barzo niedobra, że się afektami sprawują, a nigdy albo mało racyami, gdyż to prawa człowieka własność rozum a wywód“ [1]). Tak pisał o Polakach przed półczwarta wiekiem Jan Dymitr Solikowski, wybitny publicysta pierwszej wolnej elekcyi. Historya polska aż do dni dzisiejszych stwierdzała faktami słuszność tego zdania. Czy jednak zawsze „to jest rzecz barzo niedobra?“ Nieraz owe afekta są wynikiem zdrowego instynktu samozachowawczego i zatrzymują naród nad skrajem przepaści, dokąd go wiodą ci, których własnością jest „rozum a wywód“ bez uczciwości lub poczucia narodowej godności. Jeśli jednak ten instynkt wraz z afektami ma być moralnym probierzem poczynań narodowych, powinien być uświadomiony i oparty na historycznych racyach. Słowem, należy uświadomić sobie łączność lub rozbieżność uczuć i na ich tle wyrosłych sądów między współczesnymi a dawnymi pokoleniami wolnej i potężnej Polski.

Jedną z dziedzin, w której najczęściej uczucia narodowe się wyrażały, jest sfera sądów o naszych bliższych i dalszych sąsiadach. Chwilą zaś, w której nie brakło ku temu sposobności i potrzeby, były czasy bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. Polska znajdowała się wówczas „wśród serdecznych przyjaciół“, którzy ją chcieli obdarzyć i królem i przyjaźnią i wielu moralnemi bodaj korzyściami, jak łączność z kulturą zachodnią i t. p. Wybór był trudny, choć kandydatów nie mało. Polacy zastanawiają się nietylko nad ich osobami, obiecywanemi przez nich materyalnemi ko-

[1]) Wszystkie cytaty pochodzą z „Pism politycznych z czasów pierwszego bezkrólewia“, wyd. J. Czubek, Kraków 1906.

rzyściami, ale też dyskutują o ich narodowości. Przy tej sposobności słyszymy sądy o Szwedach, Moskwicinach i Francuzach. Są one często sprzeczne z sobą, a czasem dziwnie trafne, zwłaszcza po doświadczeniu wieków. Tak np. o Moskwicinie popularną była opinia: „Nie odmieni on ani potomstwo jego krwie pragnącej natury swej na wieki“.

Henryk Gaertner.

Zjazd Spółdzielczy w Lublinie.

Z inicyatywy pp. Dr. A. Rząda, dyrektora Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie, St. Śliwińskiego, dyrektora Syndykatu rolniczego w Lublinie i Dr. Fr. Stefczyka, dyrektora Biura Patronatu Spółek oszczędności i pożyczek przy Wydziale Krajowym we Lwowie, przy owocnej pomocy p. Dr. Br. Kuśnierza, byłego referenta w Związku Stow. zar. i gosp. we Lwowie, obecnie, urzędowo mówiąc, „c. i k. nadporucznika przy c. i k. Zarządzie cywilnym okupacyi austro-węgierskiej Królestwa Polskiego“ w Lublinie, odbyła się dnia 7., 8. i 9. lutego b. r. w Lublinie pierwsza „Konferencya Przewodników Polskiej Kooperacyi“. Dla polskiego spółdzielcy była to uroczystość niezwyczajna. Po raz pierwszy od powstania ruchu spółdzielczego w Polsce, a więc od 50 lat, mogliśmy się wszyscy zjechać, poznać się wzajemnie, omówić osobiście najważniejsze przynajmniej, dręczące nas problemy i wątpliwości, zapoznać się z tymi szczegółami pracy w każdej dzielnicy, które stanowią o jej charakterze i losie, a których nie sposób oddać w żadnym artykule, ani książce, trudno zaś dociec przy objazdach bez wzajemnej konfrontacyi, — pomyśleć o pewnem ujednostajnieniu, skoordynowaniu akcyi, obmyślić przygotowania do wspólnej pracy! Bywały zjazdy poszczególnych dzielnic, przy niektórych z nich spotykali się czasem indywidualnie reprezentanci wszystkich dzielnic, lecz podobnego Zjazdu, reprezentującego wszystkie centralne organizacye wszystkich dzielnic, dotychczas nie mieliśmy.

A rzeczywiście prócz delegata z Litwy, p. Szklennika, który nie mógł przybyć dla trudności paszportowych, nikogo nie brakło. Byli więc Ks. Patron Adamski, Wicepatron Dr. Rzepnikowski, Dr.

Seyda i Dr. Spandowski, jako rzeczoznawcy ze Związku Spółek zarobkowych w Poznaniu i ze Związku Spółek śląskich, J. Martinek imieniem Związku Spółek rolniczych w Cieszynie, imieniem Komisyi organizacyjnej Ogólno-krajowego Związku Spółek kredytowych oraz Banku Towarzystw Spółdzielczych w Warszawie Dr. A. Rząd, rejent W. Młynarski z Kalisza, St. Mitraszewski i M. Terech, imieniem Związku rewizyjnego Polskich Stowarzyszeń rolniczych w Warszawie dyrektor tegoż, wice-burmistrz Inż. Z. Chmielewski, Z. Brudziński i H. Smoliński, imieniem Związku Stowarzyszeń spożywczych w Warszawie dyrektor M. Mielczarski, Z. Kmita i D. Kuszewski, imieniem Centralnego Towarzystwa rolniczego w Warszawie i Związku Kółek rolniczych przy temże Z. Chrzanowski, Z. Choromański, T. Wilkoński, Hełczyński i Wł. Zaleski, imieniem Związku Syndykatów „Kooperacya rolna“ w Warszawie dyrektor St. Śliwiński z Lublina, imieniem Towarzystwa mleczarskiego w Warszawie F. Przeradzki, imieniem Towarzystwa Wzajemnych ubezpieczeń „Snop“ w Warszawie prezes St. Dzierzbicki. Z Galicyi reprezentowali Związek stow. zar. i gosp. we Lwowie prof. Dr. Głąbiński, Dr. W. Lechowski, Dr. P. Dziubański i Dr. St. Czernecki, Akcyjny Bank Związkowy we Lwowie dyrektor M. Turski, Biuro Patronatu Spółek oszczędności i pożyczek przy przy Wydziale Krajowym we Lwowie Dr. Fr. Stefczyk, Syndykat rolniczy w Krakowie Dr. E. Taylor, Zarząd Główny Towarzystwa Kółek rolniczych oraz Związek Ekonomiczny Kółek rolniczych w Krakowie dyrektor J. Szczepański i Ks. Kanonik Siara. Przybyli też liczni goście: imieniem c. i k. Zarządu cywilnej okupacyi austro-węgierskiej obecnym był Eksc. Madeyski, z przedstawicieli miejscowych instytucyi pp. Zdanowski, Jelski, Rojowski, Przanowski, Ciświcki, prezydent miasta Lublina p. Bajkowski, prof. Surzycki z Krakowa i inni. Polskie ministerstwo rolnictwa reprezentował p. Z. Ludkiewicz, nie było natomiast niestety zapowiedzianego reprezentanta Ministerstwa skarbu, p. Wieniawskiego, który nie mógł przybyć i nadesłał tylko pismo usprawiedliwiające z życzeniami.

Obradom przewodniczył Ks. Patron Adamski. Jego umiejętności rzeczowego i celowego prowadzenia obrad Zjazd wiele ze swego powodzenia zawdzięcza. Zastępcami przewodniczącego byli Dr. W. Lechowski z Drohobycza i Inż. Z. Chmielewski z Warszawy. Sekretarzowali Dr. Br. Kuśnierz i Dr. E. Taylor.

Jak widać, był to istotnie zespół najwybitniejszych sił, zasłużonych przewodników kooperacyi całej Polski. Dzięki tak poważnemu składowi dyskusya mimo nieraz bardzo gorących momentów utrzymywała się na poziomie niezwykle wysokim. Każde zdanie wypowiedziane dążyło do jasności i zwięzłości, opierało się na materyale głębokich przeżyć i długich doświadczeń. Było widocznem, iż każde porozumienie tu osiągnięte, nawet wymiana zdań, będą dyrektywą i ostateczną sankcyą dla pracy w kilku tysiącach naszych kooperatyw, decydować o kierunku i podstawach pracy gospodarczej olbrzymiej masy naszego narodu.

Program konferencyi obejmował sprawy Instytutu Spółdzielczego, kooperacyi kredytowej w Królestwie Kongresowem, Centralnej Kasy Stowarzyszeń w Królestwie, kooperacyi handlowo-rolniczej, kooperacyi spożywczej i rękodzielniczej. Ta ostatnia sprawa odpadła z powodu niejawienia się referenta (p. Poznańskiego z Krakowa) dla trudności paszportowych. Poza tem każda sprawa miała swego referenta i jednego lub dwóch koreferentów, wybranych z pośród najwybitniejszych specyalistów odnośnych działów tak, że kierunek dyskusyi był już z góry oznaczony. Referaty miały oznaczony czas trwania. Wszystkie referaty — prócz spraw kredytowych i ogólnych, traktowanych najprzód na plenum, a potem w komisyi, która następnie już z wnioskami wróciła znowu na plenum — rozpatrywane były w komisyach, które na ich podstawie układały dla plenarnego zebrania rezolucye, dyskutowane po wygłoszeniu referatów. Obrady plenum odbywały się przedpołudniem, popołudniu zaś pracowały komisye, których było trzy: ogólno-organizacyjna i kredytowa, handlowo-rolnicza oraz spożywcza. Organizacya zatem konferencyi była przez inicyatorów doskonale i celowo obmyśloną.

Obrady Zjazdu szły w kierunku ustalenia zasad organizacyi i pracy kooperatyw w Polsce, ujednostajnienia istniejących typów i metod, rewizyi ich, wytknięcia celów. Szczególną uwagę zwracano na sprawy Królestwa Kongresowego i to z podwójnych powodów. Po pierwsze praca spółdzielcza doznała tam wskutek wojny tak zasadniczych wstrząśnień, iż trzeba i można będzie organizować ją w dużym stopniu na nowo. Po drugie zaś zebranie wychodziło z założenia, że organizacya tamtejsza będzie ośrodkiem, wokoło którego będzie się skupiać stopniowo praca spółdzielcza całej Polski w miarę budowy państwa polskiego. Sposób zatem

organizacyi tamtejszej kooperacyi przesądzi i o organizacyi innych dzielnic, które do niej się będą musiały dostosować. Chodziło więc o celowe obmyślenie urządzeń Królestwa tak, by mogło ono bez wielkich trudności i załamania jednolitości linii objąć w danym razie swą organizacyą i inne dzielnice.

Na plan tedy pierwszy wysunęła się sprawa prawa spółdzielczego. Potrącały o nią wszystkie komisye w swych obradach i poszczególne referaty. Specyalnego referatu na ten temat nie było. Wyniki obrad sformułowano tylko ogólnie, żądając ogólnego prawa dla wszelkiego rodzaju kooperatyw, opracowanego przez rząd polski w porozumieniu z przedstawicielami polskiej kooperacyi. Na to porozumienie kładziono szczególny nacisk, jako niezbędny warunek celowego skonstruowania prawa. Na wniosek komisyi spożywczej przedstawiono pozatem w uchwałach tylko konieczność surowych przepisów karnych przeciw niewypełnianiu obowiązków przez członków Zarządów stowarzyszeń i ich niesumienności, by dać członkom stowarzyszeń możność obrony przeciw niedbalstwu i samowoli Zarządów. Merytorycznie ponadto w dyskusyi oświadczano się ogólnie za systemem niemieckim rejestracyi sądowej, nie koncesyjnym. Żądano powszechnie przymusowej rewizyi, wykonywanej przez dobrowolne Związki rewizyjne lub przez lustratora państwowego; R. Mielczarski posuwał się nawet do żądania przymusu należenia do Związku rewizyjnego, co jednak spotkało się ze słusznym sprzeciwem Ks. Adamskiego, podnoszącego, iż przymus taki nakładałby z drugiej strony tak niepożądany przymus przyjmowania poszczególnych stowarzyszeń przez Związki wbrew ich chęci i woli. Powszechnie oświadczano się za tem, by prawo nakładało niewiele formalności na stowarzyszenia, dawało im dostateczną swobodę w organizacyi i działalności. Nie była prawie wcale przedmiotem dyskusyi kwestya takiego sformułowania prawa o stowarzyszeniach spółdzielczych, by nie mogły na niem opierać swej działalności spółki czysto kapitalistyczne, jak to ma miejsce przy systemie ustawodawstwa niemieckiego i austryackiego. Sprawa to ważna ze względu na odmienne stosunki społeczne, gospodarcze i skłonności narodowe w Polsce, a w tamtych państwach. Wszak w Galicyi na prawie, przeznaczonem dla stowarzyszeń spółdzielczych opierają swe statuty i działalność żydowskie, spekulacyjne i lichwiarskie spółki. Lecz sprawy tej nie dotykano, ograniczając w ogólności rozprawy o podstawach prawnych polskiej spółdziel-

czości do kwestyi najogólniejszych, do dyskusyi raczej oryentacyjnej.

Zasadniczego natomiast rozstrzygnięcia, choć niesformułowanego w uchwałę, doznała kwestya stosunku państwa do ruchu spółdzielczego. Poruszył ją częściowo w swym referacie o „Organizacyi kredytu ludowego w Królestwie Polskiem" Dr. Br. Kuśnierz, wywołał bezpośrednio reprezentant polskiego Ministerstwa Rolnictwa, p. Z. Ludkiewicz. Chodziło o kompetencyę poszczególnych ministerstw w sprawach kooperacyi oraz o rozmiar ich ingerencyi. Jeśli chodzi o pierwszą kwestyę, to zdania były rozmaite. Jedni uznawali, że zasadniczo sprawy kooperacyi winny być ześrodkowane w Ministerstwie Skarbu, drudzy oświadczali się za znaczniejszym wpływem przynajmniej na sprawy rolniczej kooperacyi Ministerstwa Rolnictwa, trzeci wreszcie (Dr. Rząd) stwierdzali konieczność załatwiania tych spraw przez komisyę międzyministeryalną (Urząd spółdzielczy). Jednomyślność jednak panowała w jednym punkcie, mianowicie, że ingerencya władzy państwowej winna być ograniczona do nieodzownych tylko spraw, że nie może ona brać na siebie inicyatywy, ani bezpośredniej kontroli, że nie powinna wchodzić na drogę subwencyi. Zewnętrzne ułatwienie i uregulowanie pracy — nic ponadto! I nietylko delegaci Kongresówki i Zaboru pruskiego ostro i dobitnie to stwierdzali. Może najbardziej zasadniczego rzecznika znajdowała ta myśl w Dr. Fr. Stefczyku, reprezentancie Galicyi. Powoływał się on na fatalne skutki polityki spółdzielczej austryackiego ministerstwa rolnictwa, które sztucznem popieraniem i krępowaniem z góry kooperatyw rolniczych doprowadziło do istnienia szeregu tworów nieżywotnych, sztucznych, t. zw. „*Pumpgenossenschaften*". Przytaczał doświadczenie Galicyi, gdzie oparcie akcyi już nie o państwowy rząd, lecz o autonomiczno-samorządny Wydział Krajowy, nawet i w akcyi kredytowej nie zawsze przyniosło pożądane wyniki, w akcyi zaś handlowej okazało się wprost niemożliwem, gdyż doprowadziło do przerzucania odpowiedzialności na organa krajowe, do zaniku poczucia odpowiedzialności własnej członków Stowarzyszeń i Zarządów, do upadku organizacyi.

Dyskusya w tej sprawie była niezmiernie pożyteczną. Z jednej strony bowiem z pośród delegatów Kongresówki podnoszono poważne obawy, że obecny rząd polski wobec uniemożliwienia mu właściwej działalności państwowej przez Niemcy będzie szedł po

linii najmniejszego oporu i obejmował dziedziny należące do inicyatywy społecznej; takie zaś gorliwe upaństwawianie życia społecznego musiałoby doprowadzić do fatalnych rezultatów, zabicia sił narodu. Z drugiej zaś strony widzimy w Galicyi do jakich rezultatów — apatyi, inercyi, bezsilności gospodarczej — doprowadziło oparcie życia gospodarczo-społecznego we wszystkich dziedzinach o inicyatywę kraju, a nawet państwa. Pomijając nietrwałość takiej metody pracy z punktu widzenia polityki ogólno-polskiej, który to moment i w odniesieniu do Kongresówki obecnie musi być jeszcze brany pod uwagę, a nawet wogóle przez dłuższy czas jeszcze w Polsce ze względu na jej położenie geograficzne, pomijając specyalną dwulicowość polityki gospodarczej Austryi wobec Galicyi, wobec której podobne metody pracy tembardziej musiały się okazać nieuzasadnione i bezskuteczne, — niepowodzenia gospodarcze Galicyi należałoby w dużej mierze przypisać właśnie owemu systemowi, zasadniczo niezgodnemu z naszą narodową predyspozycyą psychiczną. Przeciwstawićby można ogólnej formie tego twierdzenia rządy Ks. Lubeckiego w Królestwie Kongresowem. Lecz czy nie czerpały one właśnie swą siłę i znajdowały źródło powodzenia raczej w budzeniu inicyatywy społecznej, we wzmacnianiu sił twórczych narodu, pozostawając z niemi naturalnie w rozumnym kontakcie? W każdym razie, nie przesądzając zasadniczego pytania, musimy na dłuższy czekający nas okres czasu oprzeć swą przyszłość przedewszystkiem na swobodnym rozwoju inicyatywy i sił społecznych, choćby ze względu na nawał pierwszorzędnych spraw czysto państwowych, któremi się państwo będzie musiało z całem oddaniem zająć, koncentrując na nich wszystkie swe siły. Na akcyi państwowej poprzestać nie możemy i na nią nie możemy się spuszczać.

Problem „Konsolidacyi polskiej kooperacyi“ postawił referat Dr. E. Adama ze Lwowa, wygłoszony w zastępstwie nieobecnego referenta przez prof. Dr. St. Głąbińskiego. Zebranie po dłuższej dyskusyi w komisyi i na plenum jednomyślnie oświadczyło się, podejmując odpowiednią uchwałę, za utworzeniem ogólnego Związku wszystkich Związków polskich Kooperatyw w państwie polskiem. Poszczególnym natomiast Związkom zalecano raczej obejmowanie osobnych rzeczowych typów kooperatyw. Również po dłuższej dyskusyi, w której z początku były reprezentowane różne zdania, zebranie przyszło do jednolitego przeświadczenia, że ko-

nięcznem jest skoncentrowanie życia pieniężnego Stowarzyszeń wszelakich typów w jednym ogólnym Banku spółdzielczym; nie przesądzano przytem możności istnienia i pieniężnych czysto wyrównawczych central pośredniczących, opartych na podziale pracy terytoryalnym, nie ograniczonych na pewien tylko typ kooperatyw. Zasadniczy ten postulat został wysunięty wyraźnie nawet przez komisyę handlowo-rolniczą i spożywczą. Sprawie powyższej poświęcony był specyalny referat ks. Patrona Adamskiego o „Centralnej kasie dla stowarzyszeń w Królestwie Polskiem", świetny wprost co do logiki i jasności wykładu oraz opracowania materyału. Stanowił on pewnego rodzaju teoretyczne i praktyczne uzasadnienie konstrukcyi Banku Związku Spółek w Poznaniu, jak wiadomo, pracującego również i z prywatną klientelą. Równocześnie wiązał on z tym problemem także kwestyę, czy pojedyncze stowarzyszenia kredytowe winny być zawodowe czy też mieszane.

Ta kwestya szczególnie długo zajęła czasu tak na komisyi ogólno-organizacyjnej i kredytowej, jak i na plenum konferencyi. Poświęcone jej były prócz wyżej wymienionego referatu dr. Br. Kuśnierza także referaty dr. A. Rząda o „Spółkarstwie kredytowem w Królestwie Kongresowem", oraz inż. Z. Chmielewskiego o „Zadaniach spółdzielczości kredytowej w Państwie Polskiem". Chodziło tu o dwie kwestye: po pierwsze, czy pożądany jest jeden typ stowarzyszeń kredytowych, jednolity, łączący wszystkie zawody, czy też osobny typ stowarzyszeń miejskich i wiejskich, po drugie, czy mają się stowarzyszenia kredytowe łączyć w jednym ogólnym Związku, czy też mają tworzyć osobne Związki według powyższych typów. Dyskusya koncentrowała się na świetnym pojedynku ideowym między dr. Rządem, przedstawicielem pierwszej myśli, a inż. Z. Chmielewskim, obrońcą drugiej. Lecz nie do nich tylko się ograniczała. Zabierali w niej głos prawie wszyscy obecni, dorzucając niezmiernie cenne przyczynki i punkty widzenia. Załatwiono rzecz kompromisową uchwałą, nie przesądzającą obecnego stanu rzeczy, rzucającą tylko pewne ogólne dyrektywy na przyszłość. Przeważająca jednak większość wygłoszonych i to najpoważniejszych opinii oraz sentyment zgromadzenia opowiadały się za jednolitym typem mieszanych stowarzyszeń i za ogólnym Związkiem. Co do tego ostatniego punktu sprawa o tyle była w dyskusyi nieraz zaciemniana, że nie odróżniano dostatecznie kwestyi tworzenia mniejszych terytoryalnych Związków dla

wszystkich stowarzyszeń kredytowych danego terytoryum od kwestyi specyalnych Związków dla stowarzyszeń kredytowych wiejskich i miejskich. To są zaś dwie zupełnie różne kwestye. Bezwątpienia w miarę rozwoju ruchu wyniknie potrzeba i w Królestwie Kongresowem terytoryalnych Związków rewizyjnych dla stowarzyszeń kredytowych, bo jeden nie podoła zadaniu wykonywania rewizyi zbyt wielkiej liczby stowarzyszeń. Lecz o to chodzi, by te Związki grupowały się według terytoryów, nie według specyalnych typów, wytworzonych w łonie stowarzyszeń kredytowych, by innemi słowy w tej dziedzinie spółdzielczości panowała jednolitość typów organizacyi i zasad działalności. Co się tyczy tego punktu, to opowiadano się za stopieniem systemów Schultzego i Raiffeisena w jedną spoistą całość, przystosowaną do naszych potrzeb i warunków, zdolną działalność swoją dostosowywać i rozszerzać w miarę specyficznych miejscowych warunków pracy i ich rozwoju, rozpoczynającą swą działalność od prostych kredytów skryptowych i ratalnych weksli własnych, lecz mającą możność rozszerzenia swej działalności i na eskont weksli kupieckich, na interesy przekazowe, czekowe, rachunki bieżące przemysłowe i t. p. Domagano się, by to były instytucye niezbyt małe, zdolne do życia, z drugiej zaś strony nie za duże, nie twory czysto bankowe. Motywowano te opinie brakiem ludzi do pracy i kapitału w Polsce, równiejszym obrotem pieniądza w stowarzyszeniach mieszanych, ich zdolnością do samodzielnego życia, nie opartego na sztucznej pomocy z zewnątrz i t. p. I słusznie! Przy tworzeniu jednak takiego jednolitego typu pamiętać będzie trzeba, by nie zatracić spółdzielczego ducha organizacyi Raiffeisena, a przyjmując sprężystą i elastyczną organizacyę Schultzego, wyeliminować z niej momenty organizacyjne niespółdzielcze, pchające je na drogę spekulacyi i czysto kapitalistycznego traktowania interesów.

W związku ze sprawami życia pieniężnego poruszano też sprawę gminnych kas pożyczkowych w Królestwie Kongresowem. Uchwał żadnych nie podjęto. Jednak gdy dr. Kuśnierz poruszył sprawę użycia ich do kredytu długoterminowego włościańskiego, słusznie ks. Patron Adamski zwrócił uwagę, że są one dla tych celów zbyt małe i że pracy tej nie podołają, a wpadną w poważne trudności, szczególnie jeśli będą przyjmować krótkoterminowe wkłady oszczędnościowe, a nie będą się opierać o Instytut państwowy.

Niezwykle również były ożywione obrady nad spółdzielczym handlem rolniczym, przedewszystkiem jednak w komisyi. Referaty dr. Spandowskiego o „Kooperacyi handlowo-rolniczej“, dr. Taylora o „Zasadach spółdzielczości handlowo-rolniczej w świetle doświadczeń Galicyi“ i dyrektora St. Śliwińskiego o „Kooperatywach rolniczo-handlowych w Królestwie Polskiem“ szły w kierunku ustalenia zasad spółdzielczego handlu rolniczego, opierając się na materyale faktycznym, każdy swojej dzielnicy. Lecz rezultaty były dziwnie zgodne. Opowiadały się one za tworzeniem osobnych stowarzyszeń handlowo-rolniczych, obejmujących zakupno towarów rolniczych i sprzedaż produktów rolnych w jednej organizacyi, a składających się tak z większej jak z małej własności; przestrzegały przed środkami połowicznymi, jak wspólne zakupy przez spółki kredytowe lub kółka rolnicze, przed łączeniem handlu rolniczego z innymi działami handlu. Pod tym względem panowała jednomyślność. Uprawianie handlu rolniczego przez stowarzyszenia kredytowe, względnie instytucye przez nie wytworzone, proponował dr. P. Dziubański z Przeworska, przedstawiając projektowaną w tym kierunku akcyę Związku Stow. zar. i gosp. we Lwowie. Głos jego pozostał jednak zupełnie odosobniony i spotkał się z ostrą krytyką przedewszystkiem reprezentantów Wielkopolski i Królestwa. Jednomyślnie wskazywano na niebezpieczeństwa z takiego połączenia płynące dla stowarzyszeń kredytowych, z drugiej zaś strony na niezdolność stow. kredytowych do rozwiązania problemu handlu spółdzielczego, na tamowanie w ten sposób rozwoju wyższych form kooperacyi handlowej, któremi są bezsprzecznie specyalne handlowe stowarzyszenia.

W dyskusyi jak i w referatach i uchwalonych rezolucyach zwracano przy tem z naciskiem uwagę, że stowarzyszenia handlowe nie mogą być zbyt małe i muszą posiadać fachowe kierownictwo. Z drugiej jednak strony podnoszono konieczność oparcia pracy przedewszystkiem na włościaństwie (szczególniej dr. Stefczyk), aczkolwiek bowiem w zakresie handlu rolniczego niema potrzeby tworzenia odrębnych kooperatyw dla drobnej i odrębnych dla większej własności, a łączna praca jest dla obu stron tylko korzystną pod każdym względem, to jednak kooperacya jest powołaną przedewszystkiem do obrony interesów drobnego rolnictwa. Pod tym względem niektórzy (R. Mielczarski, po części T. Wilkoński) szli nieco dalej i powątpiewali o zgodności interesów między drobnem

a wielkiem rolnictwem na polu handlowem. Zdanie ich pozostało odosobnionem. Z tezy powyższej jednak wypływał postulat coraz większego demokratyzowania istniejącej spółdzielczej organizacyi handlowo-rolniczej, w którym też kierunku uchwalono dążyć. W zastosowaniu tego do Królestwa kongresowego okazała się na komisyi pewna różnica zdań: Poznańskie i Galicya oświadczało się za tworzeniem powiatowych lub mniejszych, lecz nie za małych, Spółek handlowo-rolniczych, opartych o istniejące większe Syndykaty gubernialne, będące dotychczas organizacyą większej własności, jako o swe centrale handlowe, za przetwarzaniem filii tych Syndykatów, gdzie takowe istnieją, na podobne Spółki. Natomiast reprezentanci Kongresówki, pp. St. Śliwiński i Z. Chrzanowski, uważali za lepsze, przynajmniej chwilowo, wyjście rozszerzanie jak największe sieci filii Syndykatów i stawianie ich w pewien kontakt z miejscową ludnością. W ostatecznym rezultacie akcya ta, zdaniem naszem, o ile naturalnie będzie prawdziwie demokratycznie i szczerze prowadzoną, a nie zawiedzie odrazu, doprowadzi i tak z czasem do przekształcenia się owych filii na osobne Spółki.

Dość duży nacisk kładziono na kwestyę kredytu w rolniczym handlu spółdzielczym, który to punkt stanowi dotychczas najtrudniejszy szkopuł w rozwoju organizacyi we wszystkich trzech dzielnicach. Ciekawe próby rozwiązania tego problemu przedstawił referent galicyjski. Ogólnie uznano za niezbędne, by tak poszczególne stowarzyszenia w stosunku do central, jak i członkowie w stosunku do stowarzyszeń możliwie minimalnie korzystali z kredytu towarowego, a natomiast załatwiali interesa za gotówkę, pokrywając swe zapotrzebowanie kredytowe wyłącznie w stowarzyszeniach pieniężnych. Pod tym względem konieczną jest i równoległa akcya ze strony stowarzyszeń pieniężnych, oparta na wytworzonem porozumieniu ze stow. handlowo-rolniczemi i na pewnych obranych i ustalonych formach i warunkach udzielania kredytu obrotowego na zakupno towarów rolniczych. Uchwalono również tezę, stawiającą za cel kooperacyi handlowo-rolniczej oparcie się o własny przemysł.

Pewien krańcowy punkt widzenia wprowadził do obrad p. R. Mielczarski, który w referacie swym o „Kooperacyi spożywców w Królestwie Polskiem i jej dezyderatach" stanął na gruncie skrajnie federalistycznej teoryi kooperacyi i odsądził wszelką kooperacyę niespożywców od prawa uważania się za kooperacyę. Tem

niemniej referat jego zawierał niezmiernie wiele ciekawych szczegółów o kooperacyi spożywczej w Królestwie i o jej zasadach. P. J. Szczepański znów przedstawił w koreferacie swym sprawę spółdzielczego handlu spożywczego w oświetleniu doświadczeń Galicyi. Wnioski, uchwalone w tym dziale, domagają się energicznej interwencyi prawodawstwa przeciw fałszowaniu towarów, nielojalnej konkurencyi i przekupstwu, oraz uregulowania położenia pracowników handlowych. Zalecono również instytucyom oświatowym i społecznym organizowanie swych działów handlowych w formie odrębnych kooperatyw. Zwrócono uwagę rolnictwa na znaczenie kooperatyw wytwórczych i przemysłu ludowego, zalecając sprzedaż ich wytworów wprost stowarzyszeniom spożywczym.

Poza przewidzianym porządkiem obrad przedstawił p. St. Dzierzbicki referat p. t.: „Ubezpieczenia a spółdzielczość", w którym rozpatrywał na przykładzie Francyi zalety systemu lokalnych stowarzyszeń wzajemnych ubezpieczeń od ognia, opartych o wspólny Zakład reasekuracyjny. Akcyę w tym kierunku zamierza podjąć Towarzystwo Wzaj. Ubezp. „Snop" w Warszawie.

Wszystkie omówione wyżej uchwały i referaty szły, jak widać, ku wytworzeniu pewnej wspólnej polskiej doktryny spółdzielczej, opartej na praktycznych podstawach, na naszem własnem doświadczeniu. Ku uchwalonym tezom ma zdążać organizacya i praca wszystkich polskich kooperatyw. Lecz już i na czas najbliższy okazała się potrzeba pewnego porozumienia i skoordynowania pracy. Potrzeba ta znalazła pełne zrozumienie i trzeźwą ocenę u zebranych. Centralne Związki spożywcze postanowiły się stale porozumiewać w sprawie wspólnych zakupów i możliwie już teraz je przeprowadzać. Również Centrale handlowo-rolnicze postanowiły oprzeć sprawę wytworzenia własnego przemysłu i przeprowadzania zakupów na stałem wspólnem porozumieniu i spółdziałaniu. Nie poruszano kwestyi spółdziałania i jednolitej w ogólnych zarysach polityki finansowej istniejących już naszych Centralnych Banków spółdzielczych. Bez wątpienia dlatego, że na razie nadmiar gotówki we wszystkich trzech dzielnicach i stosunki walutowe czynią takie spółdziałanie nieaktualnem. Lecz na przyszłość będzie to kwestyą pierwszorzędnej wagi, najważniejszą może ze wszystkich spraw polskiej spółdzielczości.

W jednej sprawie postanowiono już zaraz przystąpić do wspólnego działania. Mianowicie na podstawie referatu dr. Fr. Stefczyka

uchwalono utworzyć „Spółdzielczy Instytut Naukowy“, utrzymywany przez własne siły polskich stowarzyszeń spółdzielczych. Ma on popierać rozwój polskiej nauki o spółdzielczości, propagować w wykładach i wydawnictwach zdrowy i zwarty ruch spółdzielczy, kształcić praktycznie i teoretycznie siły do pracy w stowarzyszeniach i ich Związkach, utrzymywać własną bibliotekę i pracownię naukową, urządzać kursa etc. Potrzebny do założenia tego Instytutu kapitał, w kwocie koło 1 miliona koron, będzie według wszelkiej nadziei zebrany rychło między stowarzyszeniami. Do zebrania funduszów i rozpoczęcia czynności założycielskich wybrano komitet, składający się z pp. dr. Franciszka Stefczyka, inż. Z. Chmielewskiego, R. Mielczarskiego, dr. W. Lechowskiego i St. Śliwińskiego. Co do miejsca istnienia Instytutu, to przeważnie oświadczano się za Krakowem, jako nie nasuwającym tyle pokus i przeszkód dla młodzieży, jak Warszawa, a więc odpowiedniejszym na pracę naukową i ognisko propagandy.

W związku z tą sprawą na wniosek prof. St. Surzyckiego i prof. St. Głąbińskiego Zjazd postanowił wszcząć starania u Senatów trzech polskich Wszechnic o utworzenie specyalnych katedr nauki o spółdzielczości, motywując to ważnością tej dyscypliny dla społeczeństwa i jej samodzielnością wpośród nauk ekonomicznych.

Wyniki Zjazdu były tak owocne, a obrady jego tak pożyteczne, że jednozgodnie żądano rychłego urządzenia drugiego podobnego Zjazdu dla dokładniejszego porozumienia się w najaktualniejszych sprawach polskiej kooperacyi. Zorganizowanie go poruczono wypróbowanym inicyatorom pierwszej Konferencyi, a publikacyę prac Zjazdu pp. dr. A. Rządowi, dr. Br. Kuśnierzowi i dr. E. Taylorowi. Zadzierzgnięta w ten sposób nić stałych porozumień i współpracy będzie poważnym czynnikiem dalszego pogłębiania się i rozszerzania polskiego ruchu spółdzielczego, skonsoliduje go w zwarty, świadomy celu czynnik odrodzenia narodowego, utrudni chodzenie luzem, samopas poszczególnych organizacyi, tak szkodliwe dla postępu pracy. Ponad wolę i „widzi mi się“, choćby na najlepszej chęci oparte, poszczególnych grup i jednostek postawi ona samorzutnie autorytet opinii ogółu, zastosuje kryterya celowości i wymogi ogólno-narodowej pracy i jej potrzeb względem tak częstych u nas ciągłych subjektywnych prób, uprzytomni konieczność podporządkowania się całości dla osiągnięcia

wyższych ogólnych celów. Raz już byłby czas rozbieżnym dążeniom poszczególnych organizacyi przeciwstawić pytanie, która z dróg nas najprędzej doprowadzi do celu, a zgodziwszy się na pewien wspólny plan roboty, choćby nie tak doskonały, jakby sobie poszczególne organizacye życzyły i projektowały, wykonywać go jednolicie i maszerować wspólnie. Gdy poważniejsze rezultaty zostaną już osiągnięte i ugruntowane, będzie czas na doskonalenie akcyi. Szczególnie jest to ważnem dla dzielnic, gdzie pozorny brak niebezpieczeństwa narodowego i większa swoboda, jak np. w Galicyi, wytworzyły szereg różnorodnych organizacyi i akcyi, krzyżujących się wzajemnie, konkurujących z sobą, przedstawiających obraz zupełnej anarchii. Skutek jest ten, że osiągnięte rezultaty dużo jeszcze przedstawiają do życzenia nietylko w porównaniu z innemi dzielnicami, lecz i bezwzględnie; o życiu naszem gospodarczem decydują wciąż obce nam żywioły i wrogie czynniki zewnętrzne. W dodatku zaś rezultaty te nie pozostają w żadnym stosunku do wyłożonych na nie środków, zużytej energii i dobrej woli, których duża część marnuje się w tej anarchii zupełnie nieużytecznie i bezcelowo.

Zjazd cały był urządzony dzięki staraniom gospodarza p. St. Śliwińskiego wprost doskonale. Na uczestników czekały konie na dworcu kolejowym, brali ich pod swą opiekę zaraz specyalni delegaci, kwatery były z góry powyznaczane.

Pierwszego dnia zwiedzano wspólnie świeżo odkryte freski na Zamku lubelskim, drugiego dnia fotografowano się wspólnie. Obrady plenum i komisyi odbywały się w wygodnych salach Głównego Komitetu Ratunkowego. Przez cały czas uczestnicy mieli zorganizowane wspólne obiady i kolacye w „Klubie Polskim". Toczyły się tam długie rozmowy we wszystkich obchodzących nas sprawach. Poruszano w nich ze strony królewiaków przedewszystkiem „sprawę rublową", która grozi zupełną ruiną wszystkich instytucyi finansowych i gospodarczych tamtejszych. Dzięki systematycznej zorganizowanej spekulacyi niektóre typy banknotów rublowych mają disagio 20%, drugie 10%, inne znów 8%. Niektóre znów z podpisami jakiegoś kasyera nie są wcale przyjmowane. Chaos więc zupełny, który zmierza celowo do tego, by wyłowić prawdziwe banknoty, uplasować w ich miejsce fałszywe, licznie kursujące, a równocześnie uniemożliwić wszelką działalność istniejącym Instytucyom, doprowadzić je do ruiny, tak by je potem

łatwo mógł wykupić „Ost“ lub jaki inny Bank. W dodatku warszawska „Darlehens-Kasse“ nie wymienia obecnie wcale banknotów rublowych na marki polskie. Wobec tego wszystkiego rząd polski stoi zupełnie zdaje się bezsilny. Ciężka to troska dla przyszłości gospodarczej tej części Polski! Lecz mimo tych i innych z ciężkiem sercem wyrażanych obaw kataklizmów gospodarczych, przygnębienia nie było w zebranych. Wszystkich nas ożywiała silna wiara, iż przetrwamy i ostatecznie osiągniemy ziszczenie naszych najgłębszych narodowych ideałów. Ze wzmocnionem postanowieniem tem intenzywniejszej pracy na naszem polu dla Ojczyzny rozjeżdżaliśmy się, pełni ufności i energii.

Już ostatniego dnia obrad doszła nas wiadomość o zawarciu pokoju z Ukrainą. W domu nas czekała uderzająca jak grom wiadomość o wykrojeniu rozszerzonych Chełmszczyzny i Podlasia z żywego ciała Polski.

Społeczeństwo polskie przyjęło ten cios powszechnie jako bodziec do tem większego wzmożenia twórczej pracy, jasnej w swych dążeniach i celu. Zbawiennie oddziałał on na stosunki galicyjskie. Sądzę, że w zakresie tu omawianym, spraw spółdzielczych, moment obecny winien być wyzyskany w Galicyi przedewszystkiem dla skoordynowania i zorganizowania całej rozstrzelonej pracy kooperatystycznej w jeden zwarty i karny ordynek, zmierzający ku odrodzeniu gospodarczo-narodowemu tej dzielnicy. Miraż rzekomego bezpieczeństwa narodowego rozwiał się bezpowrotnie! Nakazem wprost moralnym, stąd płynącym, jest skupienie akcyi w jedno ognisko. Koniecznem jest ścisłe porozumienie między wszystkiemi gałęziami polskiej kooperacyi w Galicyi, rozgraniczenie pól działania, sprzęgnięcie wszystkich luzem dotychczas idących organizacyi w jedną solidarną federacyę. Naglącą potrzebą jest konferencya przewodników polskiej kooperacyi w Galicyi dla skoordynowania akcyi, opracowania wspólnego planu i podziału pracy, ustalenia dróg i metod, wyboru środków, najskuteczniej do celu prowadzących.

Myśl tę pozwalam sobie poddać pod rozwagę polskim spółdzielcom Galicyi.

Kraków, luty 1918 r.

Edward Taylor.

Z powodu prof. St. Kutrzeby Historyi ustroju Polski w zarysie.

Świeżo ukazało się w oknach wystawowych czwarte wydanie pierwszego tomu „Historyi ustroju Polski w zarysie“, na wiosnę 1917 wyszedł jej ostatni, tom czwarty.

Słuszna, abyśmy zaznaczyli ten fakt, abyśmy stwierdzili, że dobiegło do końca dzieło wielkiej wagi, dzieło, o którem autor może powiedzieć bez przesady i przenośni: *exegi monumentum*, bo niewielu uczonym udaje się napisać książkę takiej wartości i trwałości, jak „Historya ustroju Polski w zarysie“.

Praca ta zaznacza pewien moment w rozwoju naszej historyografii: zwiastuje ona mianowicie zamknięcie jej okresu monograficznego, który trwał blisko półwieku. Wiemy, jak był on potrzebny, zdajemy sobie sprawę, że on dopiero nasze dziejopisarstwo postawił na stopie ściśle naukowej, ale tem niemniej uznajemy, że to wyłączne niemial panowanie studyów i monografii musiało się skończyć, że przyszedł czas na prace syntetyczne, na prace obejmujące jak największe całokształty, obok których oczywiście i nadal prace monograficzne będą konieczne i nawet z natury rzeczy będą od nich dużo liczniejsze, acz nie będą już główną cechą naszej twórczości dziejopisarskiej.

Prawdziwym symbolem zakończeniu okresu monograficznego będzie historya polska w wydawanej przez Akademię Umiejętności Encyklopedyi polskiej; zbiorowa ta praca młodszych przeważnie historyków będzie niejako syntezą dotychczasowych prac monograficznych. Wagi pracy prof. Kutrzeby nie umniejsza to jednakże,

ponieważ po pierwsze wyprzedził on Akademię Umiejętności a po drugie podjął pracę sam, na własną rękę i dał dzieło jednego odlewu, co ma zawsze swoją cenę, a zwłaszcza w dzisiejszych czasach koniecznej specyalizacyi pracy historycznej wobec ogromnych ilości źródeł, zagadnień specyalnych i dotychczasowej literatury. Dziejopis historyografii polskiej zawsze podniesie z uznaniem nietylko, że prof. Kutrzeba miał odwagę i wytrwałość podjąć się swej pracy, ale także, że ją wykonał tak dobrze. Musi to zrobić choćby ze względu na fakt, że bezpośrednim i jedynym właściwie poprzednikiem jego był Bandtke, który swoją Historyę prawa polskiego napisał przed 1830 rokiem. Przed Bandtkem Lengnich czy Skrzetuski, pisali jeszcze podręczniki obowiązującego prawa politycznego z podkładem historycznym. Na parę lat przed wydaniem przez Kutrzebę pierwszego tomu zostały udostępnione uczniom i publiczności przez powielenie cenne wykłady prawa polskiego prof. O. Balzera jako tak zwane „skrypta", po wydaniu zaś owego tomu wydrukował prof. Balzer tylko krótki „Przegląd wykładów o historyi ustroju Polski" (1905). Nikt jednak dotąd nie przeorał i nie przetrawił całego rozwoju społeczno-politycznego Polski od początków do dni dzisiejszych, jak to zrobił prof. Kutrzeba.

Pracy nad „Historyą ustroju Polski w zarycie" poświęcił prof. Kutrzeba przeważną część 12 najlepszych lat swojego życia. Posiadał też do tego potrzebne warunki. Przedewszystkiem służyły mu przez ten czas siły i zdrowie, następnie cechuje go podziwu godna pilność, systematyczność i dokładność w pracy. Najcenniejszymi zaś może zaletami były: szybkość oryentacyi w olbrzymim materyale i łatwość konstrukcyi. Szybko dociera on do najważniejszych źródeł i zagadnień, a pogląd swój buduje w lot niemal równocześnie z rozczytywaniem się w tekstach. Posiada przytem wielką łatwość pisania, rękopis jego nie wymaga prawie poprawy przed oddaniem do druku. Oczywiście, te liczne i cenne zalety nie mogą się obejść bez pewnych cieni. Sądzę, że mogę je podnieść tembardziej, że zapewne i autor zdaje sobie z nich sprawę. Wielkiej łatwości w ujmowaniu zagadnień nie zawsze dotrzymuje placu głębokość tego ujęcia. Prof. Kutrzeba pisze swoim własnym stylem, który się stał także stylem jego przemówień i wykładów. Jest to styl prosty i jasny, tudzież ogromnie zwięzły, nie ma w nim miejsca na ozdobną frazeologię, bo czas i miejsce po-

święca aator na podanie jak największej masy ścisłych i gruntownych wiadomości. Styl ten jednak wydaje się znawcom trochę zaniedbanym, zwłaszcza pod względem szyku wyrazów.

„Historya ustroju Polski w zarysie“ pojęta była pierwotnie jako podręcznik dla kształcącej się młodzieży. Jako taki podręcznik ściśle naukowy, tłumaczący zjawiska i wykazujący ich wzajemne związki, wolny od tendencyi, względnie od tezy wniesionej z zewnątrz, jest ona nieoceniona, a raczej doskonale przez całą Polskę oceniona, skoro się już rozeszło kilkanaście tysięcy egzemplarzy pierwszego tomu. Jest ona pożyteczna nietylko dla młodzieży kształcącej się i dla szerokiej publiczności oświeconej, ale nawet dla samodzielnych pracowników na polu historyi służy ona jako źródło podręcznych informacyi, na których zawsze polegać można.

Wiadomo, że książka ta stała się w całej Polsce dodatkowym podręcznikiem w szkołach średnich. Choć bowiem nie dla szkoły średniej przeznaczona, jest jednak i dla jej uczniów dostępna dzięki prostocie wykładu. Nie ma w niej przeładowania fachową terminologią prawno-polityczną, te zaś terminy fachowe, które są użyte, są zwykle umiejętnie wyjaśnione. Jest to niewątpliwie najwyższą zaletą dobrej książki naukowej, jeżeli sobie wyrobi dostęp także w ręce niespecyalistów, jeżeli ma możliwie szerokie zastosowanie, jeżeli szerzy zdrowe poglądy i podnosi kulturę społeczeństwa, w śród którego i dla którego została napisana.

Jeżeli dzieło prof. Kutrzeby jest pożyteczne dla społeczeństwa polskiego, to niemniej okazało się ono korzystne dla niego samego, dla jego rozwoju wewnętrznego. Praca nad nim otwarła mu szersze widnokręgi naukowe, niżby to zrobiły prawdopodobnie dalsze studya monograficzne. Na drodze zmagania się z mnóstwem szczegółowych pytań, których wymijać nie pozwalała sumienność naukowa, a zwłaszcza z najwyższym zagadnieniem bytu niezawisłego i upadku narodowego musiały mu się ukazać problemy socyologiczne i historyozoficzne nawet bez studyowania specyalnych dzieł socyologicznych i historyozoficznych, studyowanie zaś tych dzieł tem większy mogło mu przynieść pożytek. Z drugiej strony doprowadzenie dziejów ustroju ziem polskich po rozbiorach aż do wybuchu wielkiej wojny umożliwiło mu wniknięcie w obecne stosunki polityczne i położenie narodu polskiego, jakiego niema

zwykle historyk a przez to uzdolniło go do oddawania społeczeństwu cennych usług także na polu politycznego działania.

Wspomnieć jeszcze należy, że i obcy uznali rzetelną wartość pracy Kutrzeby, tom pierwszy został przetłómaczony w r. 1912 na język niemiecki przez Christianiego, w r. 1907 ukazały się aż dwa tłumaczenia na język rosyjski w języku zaś czeskim ukazało się obszerne sprawozdanie prof. K. Kadleca. Po Historyi Polski Bobrzyńskiego jest to pierwsza książka historyczna polska ogólnej treści, która została uprzystępiona obcej publiczności, ta jednak ogromna między nimi zachodzi różnica, że gdy książka M. Bobrzyńskiego wywarła fatalny skutek jako potwierdzenie ze strony polskiej wszystkich niemal zarzutów, jakie obcy, zwłaszcza niemieccy i rosyjscy historycy i publicyści od XVIII. wieku stawiali naszej przeszłości i ustrojowi państwowemu, to praca Kutrzeby jest najlepszą obroną tej przeszłości, bo jest tylko prawdziwym jej obrazem zupełnie wolnym od tendencyi apologetycznej.

Dzieło prof. Kutrzeby składa się z 4 tomów. Pierwszy poświęcony jest historyi ustroju Polski właściwej (Korony), tudzież całości Rzeczypospolitej od unii lubelskiej do rozbiorów, drugi poświęcony jest Litwie do unii lubelskiej z krótkiem przedstawieniem różnic, jakie jeszcze potem istniały między oboma połączonymi państwami. W dwóch ostatnich tomach przedstawia autor dzieje ustroju społeczno-politycznego poszczególnych dzielnic w epoce porozbiorowej aż do wielkiej wojny, mianowicie trzeci tom obejmuje losy zaboru pruskiego 1772—1807, a potem dzieje Księstwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, tudzież innych ziem pod zaborem rosyjskim (Litwa i Ruś) z dodaniem historyi Wolnego miasta Krakowa, czwarty zaś tom daje obraz zaboru pruskiego od 1807 względnie 1815 i zarys dziejów zaboru austryackiego od roku 1772. Gdy tomy traktujące o ustroju obu państw w czasie niepodległości liczą razem stronnic 529, to tomy omawiające dzieje porozbiorowe, są o 200 stronnic dłuższe; tłómaczy się to przedewszystkiem rozczłonkowaniem całego jednolitego już obszaru na kilka części, które trzeba było równolegle omawiać, a po części także chęcią autora, aby dać dokładniejsze wiadomości o stosunkach najnowszych ze względów praktycznych. Dzisiaj budzi się jednak silna nadzieja, że te dokładniejsze wia-

domości o stosunkach najnowszych będą miały wkrótce czysto historyczne znaczenie.

W sposobie opracowania obu głównych części są różnice. Doniosłą zaletą tomów przedrozbiorowych, a zwłaszcza tomu poświęconego Koronie, jest umiejętne oparcie historyi społecznej na rozwoju stosunków gospodarczych i to przeważnie na podstawie własnych badań. W tomach porozbiorowych tego ekonomicznego podkładu już brakuje, nie zostały też w nich uwzględnione skarb i wojsko, jako podlegające ogólnym przepisom państw zaborczych i dotyczące wyłącznie ich interesów, skąpo także uwzględniony został ustrój życia przemysłowego i handlowego.

Pod względem konstrukcyi najlepszy niewątpliwie jest tom pierwszy, aczkolwiek napisał go Kutrzeba najwcześniej, bo jeszcze jako docent historyi prawa polskiego, ale posiadał do tego najpoważniejsze przygotowanie, napisawszy przedtem kilkanaście gruntownych prac monograficznych. Pamiętam, z jakiem niedowierzaniem została przyjęta ta praca przez naszych historyków, niektórzy nawet starsi z pewnem zgorszeniem spoglądali na ten krok początkującego docenta, który podjął to, co uważano za możliwe chyba po kilkuset jeszcze monografiach. Kutrzeba nie tylko opanował całą literaturę przedmiotu, ale także uzupełnił ją znakomicie własnymi badaniami źródłowymi (obok Voluminów legum liczne studya archiwalne głównie w Archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, gdzie był dłuższy czas urzędnikiem), które mógł zaledwie kilku słowami w podręczniku zaznaczać, toteż niektóre późniejsze monografie stosunkowo niewiele dla niego przynoszą. Każde nowe wydanie przynosi cenne, acz nieznaczne poprawki na podstawie nowej literatury i własnych studyów nowszych.

Drugi tom o Litwie opracowany jest przedewszystkiem na podstawie obfitej i poważnej literatury historycznej rosyjskiej, która u nas jest stosunkowo bardzo mało znana; oczywiście nie brak i tu własnych oryginalnych studyów autora (np. do unii), ale niewątpliwie odgrywają one mniejszą rolę niż w tomie drugim. W tomie trzecim i czwartym opiera się autor mniej więcej równomiernie na literaturze przedmiotu i na własnem opracowaniu tekstów ustaw i rozporządzeń.

Nie będziemy tu wchodzić w szczegółowy rozbiór treści dzieła, wobec niezmiernej jego zwięzłości trzebaby na to ogromnie wiele czasu i miejsca poświęcić. Mimo całej solidności i ści-

słości, która cechuje pracę naukową Kutrzeby, nie jest on oczywiście nieomylny. Niedoskonałość jest cechą człowieka i wszystkich dzieł jego, osobliwie zaś dzieł naukowych. Nowe pokolenia badaczy będą dalej budować gmach historyi ustroju Polski i Litwy, będą nowe zagadnienia odkrywać a stare z innych stron oświetlać. Nie ma jednomyślności w żadnej nauce, nie ma jej też w nauce o ustroju Polski, toteż łatwoby mi może było zebrać szereg szczegółów, co do których odmienne zdanie wydawałoby się uzasadnione, ale to nie wpłynęłoby na sąd, że „Historya Polski w zarysie“ jest wybitnym czynem naukowym o znaczeniu narodowem.

Na zakończenie chcę dotknąć jeszcze jednej sprawy. Chodzi o zasadniczy pogląd Kutrzeby na rozwój dziejowy Polski. Wyraził on ten swój pogląd obszernie w tomie pierwszym przy sposobności charakterystyki okresu trzeciego, (t. j. okresu ustroju stanowego równoczesnego z epoką Jagiellońską). „Szliśmy naprzód nie powoli krok za krokiem, ale w skokach, nieraz nawet trochę gwałtownych“. Odbywało się to przez przejmowanie przez Polskę gotowych już instytucyi, wyrobionych na Zachodzie, w formie coprawda dosyć odpowiedniej i w czasie odpowiednim, ale bez twórczej pracy własnej w tym zakresie. Było to nieuniknione, bo zmuszało nas do tego położenie geograficzne: z jednej strony byliśmy w rozwoju opóźnieni, a z drugiej strony weszliśmy w krąg życia cywilizacyjnego zachodniej Europy, musieliśmy ją zatem naśladować, chcąc ją doganiać w rozwoju. W poglądzie tym jest niewątpliwie dużo słuszności, atoli mojem zdaniem nie należy wartości i pożyteczności tej naszej zależności od kultury zachodnioeuropejskiej podawać w wątpliwość, jak to czyni autor w słowach: „Czy nie lepszy był powolny, ale ciągły rozwój własnych rodzimych pierwiastków, choćbyśmy przez to mieli zostać daleko w tyle poza Europą? Trudno na to odpowiedzieć, bo nie wiemy, jak te nasze rodzime pierwiastki byłyby się rozwijały“. Daleko, olbrzymio daleko poza Europą zostaliśmy w XVII. i XVIII. wieku wskutek przewagi własnych pierwiastków, którym brakowało zupełnie zdolności do rozwoju, które więc sprowadziły na państwo polskie zgubny zastój, co zresztą w charakterystyce okresu czwartego (od unii lubelskiej do reform Czartoryskich) Kutrzeba konstatuje. Jeżeli chodzi o wysnucie przewodniej myśli dziejów pol-

skich, to należy położyć nacisk na to, że samodzielny byt i pomyślny rozwój zapewniała nam jedynie energiczna twórczość ogólnokulturalna w najściślejszym związku z Europą zachodnią: jeżeli nasz związek z Europą zachodnią się rozluźniał, to nasza twórczość słabła, a naszemu bytowi niepodległemu i zdrowemu rozwojowi społecznemu groziła ruina. Nie tu jednak pole, aby szerzej to uzasadnić.

Kraków w listopadzie 1907.

Fr. Bujak.

Monarchia a parlamentaryzm w Niemczech.

Rok 1848 podkopał bardzo trony w Europie. Zwykle się mówi, że uratował wówczas monarchizm Mikołaj I., ale zapomina się, jak wiele się do tego przyłożył jego szwagier (brat carowej) Wilhelm I., godny spadkobierca idei Fryderyka II. Znany profesor prawa, Rudolf Ihering, przypomniawszy upadek monarchizmu w połowie XIX. wieku, dorzucił takie wyznanie: „Nigdybym wówczas (około r. 1848) nie uwierzył, że jeszcze raz uczuję najgłębszy szacunek i najgorętszą miłość dla jakiejś głowy koronowanej i że zostanę zapalonym zwolennikiem monarchii. Ten przewrót, najgwałtowniejszy w mojem życiu, zawdzięczam cesarzowi Wilhelmowi. Jego więc historyczne znaczenie sięga w moich oczach daleko poza ramy tego, czem stał się dla samych Niemiec“ [1]).

Do roli swej przygotowywał się Wilhelm wcześnie. Już za panowania swego brata Fryderyka Wilhelma IV. ratował monarchię, jak mógł, protestował przeciw wszelkim jego ustępstwom w r. 1848 i skłaniał go do użycia siły zbrojnej przeciw barykadom, za co od nienawistnych mu żywiołów radykalnych dostał takie przydomki, jak „Książę Kartaczowy“ *(Kartätschenprinz)*, „Kat wolności“ i t. p. Nawet pod naporem ogólnego wzburzenia musiał usunąć się na pewien czas do Londynu, a lud na jego pałacu umieścił napis „własność narodowa“. To „wygnanie“ londyńskie tylko umocniło w Wilhelmie przywiązanie do idei monarchicznych a odrazę dla buntowniczego motłochu. Niebawem też po powrocie on to stanął na czele wojsk pruskich, które miały się porachować z wrogami monarchii i podczas gdy wojska Miko-

---

[1]) Pfister, *Wilhelm* 1906, 131, por. Kaufmann, *Geschichte Deutschlands* 668.

łaja I. tłumiły rewolucyę węgierską, on rozbił (23. lipca 1849 r.) wojska republikanów badeńskich walczących pod wodzą Ludwika Mierosławskiego. Było to pierwsze, przez niego samego odniesione zwycięstwo, a było to zwycięstwo monarchii nad rokoszem „fantastów i profesorów". Odtąd tem silniej wierzył, że nie demokracya ale król pruski na czele armii podbije całe Niemcy i je zjednoczy: „*Wer Deutschland regieren will, muss es sich erobern*"...

Kiedy Fryderyk Wilhelm IV. umyślił Niemcy zdobywać także i na innej drodze i chcąc przelicytować Austryę-„konserwatystkę", zaprzysiągł (6. lutego 1850) konstytucyę pruską (zresztą nie bez głośnych zastrzeżeń i nie bez zamiarów poddania jej kiedyś „rewizyi monarchicznej"), wówczas Wilhelm pod pozorem „ważnych zajęć w armii" wymówił się od uczestnictwa w akcie zaprzysiężenia. Co prawda, przysięga ta go nie minęła. Kiedy bowiem po bracie, który popadł w obłąkanie, wstępował na tron, znów stanęła przed nim kwestya przysięgi. Fryderyk Wilhelm IV. zostawił sławny testament polityczny, w którym (gdy był jeszcze przy zdrowych zmysłach) zaklinał następców, aby nie zaprzysięgali konstytucyi i ją złamali [1]). Wilhelm I. zakomunikował treść testamentu członkom domu Hohenzollernów, ale konstytucyę (26. października 1858 r.) poprzysiągł — nie bez zamiaru „ulepszenia" jej w przyszłości.

Aby na wstępie odrodzić urok monarchii, Wilhelm urządził w Królewcu (18. października 1861 r.) uroczystą koronacyę. Jedyna to koronacya króla pruskiego po r. 1701 aż po dzień dzisiejszy. W czasie tej uroczystości, włożywszy sobie sam koronę na głowę, zaznaczył, że koronę dostał wprost od Boga (nie od ludu). Cały ten obchód urządził z pewnym przepychem, nie licząc się ani z głosem niektórych ministrów, którzy sprzeciwiali się tej koronacyi, ani z pomrukiem sfer liberalnych, które dostrzegły w tem zamiary wrogie konstytucyi. Rozumiał go dobrze minister Roon, który oświadczył: „Malowani są królowie w Belgii, Anglii i Ludwik Filip, ale też te królestwa są inne aniżeli *ein echt preussisches Königtum von Gottes Gnaden*".

Na czem polegała różnica? Na jądro sprawy wskazał Wilhelm już w wrześniu 1857 r., oświadczając, że nie godzi się na

---

[1]) Testament ten spalił na wstępie rządów Wilhelm II., Hintze, *Die Hohenzollern und ihr Werk*, 1916, 564; Helmolt, *Bismarck*, 1915, 326—328.

odpowiedzialność ministrów wobec Izby poselskiej [1]). I o to też zaczęła się walka zapamiętała między królem, który pomnażając i doskonaląc armię, domagał się na ten cel uchwały budżetu, a Izbą, która temu się sprzeciwiała, a w końcu 6. marca 1862 r. wyraźnie uchwaliła wotum nieufności ministrom. Król ani myślał zgodzić się na dymisyę ministrów i oświadczył, że w Prusach ministrowie zależą od woli monarchy a nie od woli większości parlamentu, że w Prusach rządy parlamentarne są niedopuszczalne. Gdy po rozwiązaniu sejmu, nowe wybory przyniosły fatalny dla korony wynik, Wilhelm na chwilę się zawahał, już myślał o abdykacyi na rzecz syna, aż w końcu zdecydował się na jeszcze bardziej zaciętą walkę i zamianował premierem — Bismarcka. Ten miał wówczas sławę tak zaciekłego wstecznika i tak twardego junkra, że zamianowanie go opozycya uznała za rzucenie sobie rękawicy i wyzwanie do nieubłaganej walki. Wszakże to na czele gabinetu stanął ten Bismarck, co brzydził się wyrazem „konstytucya" jako wyrazem cudzoziemskim [2]), ten Bismarck, co na wieść, że Fryderyk Wilhelm IV. ma zaprzysiądz konstytucyę, zawołał z goryczą i rozpaczą: *„Finis Borussiae"* [3]).

Tuż przed objęciem steru rządów Bismarck w rozmowie z królem w parku w Babelsbergu (22. września 1862 r.) ujął konflikt parlamentarny jako walkę, w której ma się roztrzygnąć, czy będzie górą — jak pisze w swym pamiętniku [4]) — *„königliches Regiment oder Parlamentsherrschaft"*. Wyraźniej jeszcze to uwydatnił w mowie swej w Izbie poselskiej (30. września 1862 r.): „Trudne jest w Prusach życie konstytucyjne... Nie przez oracye ani uchwały większości rozstrzygają się wielkie zagadnienia czasów (i to był główny błąd roku 1848 i 1849), ale przez żelazo i krew". Sfery postępowe kipiały oburzeniem i przebąkiwały, że premiera czeka los tych ministrów, co nie liczyli się z parlamentarnymi zasadami, takich jak Strafford (ścięty w Anglii 1641 r.) lub Polignac (skazany we Francyi na dożywotne więzienie 1830 r.); sam Wilhelm w obliczu zaostrzającego się konfliktu w sławnej rozmowie z Bismarckiem w Jüterborg napomykał o losie Karola I. i Ludwika XVI. Bismarck nieustraszony, postawił wszystko na jedną kartę, postępywał jak

[1]) Erich Marcks, *Wilhelm,* 1900, 130.

[2]) Spahn, *Bismarck,* 1915, 68.

[3]) Kohl, *Bismarck— Regesten,* styczeń 1850.

[4]) *Gedanken und Erinnerungen* I, 269.

dyktator, używając najbrutalniejszych gwałtów represyi. Jego hasło z tych czasów oddał niezgorzej hrabia Maksymilian v. Schwerin, gdy sens pewnej przemowy Bismarcka streścił w znanym zwrocie „siła przed prawem“ (27. stycznia 1863 r.). Izba poselska stała na gruncie prawa, t. j. 99. artykułu konstytucyi [1]) pruskiej, wedle którego budżet na każdy rok z góry należało uchwalać, stąd (17. lutego 1863 r.) zdecydowała, że minister wydatkujący wbrew konstytucyi powinien odpowiadać za to swym prywatnym majątkiem (wobec czego Bismarck w obawie o swoje mienie ubezpieczył swe dzieci). Zatarg dochodził do szczytu. Niebywałe skandale wybuchały w Izbie. Prezydent Izby odbierał głos Bismarckowi, ten znów prowokująco puszczał kłęby dymu cygarowego na sali i t. p. Gdy sejm odrzucił wydatki na wojnę duńską, wówczas Bism. zarzucił Izbie, że podejmuje tradycye polskiego parlamentaryzmu. Wyraził to 22. stycznia 1864 r., przypominając pismo króla Fryderyka Wilhelma I. do członka Stanów wschodnich pruskich przy zaprowadzeniu gruntowego podatku, pismo, w którem król pisał: *„Was ich ruiniere, das ist das „niepozwalam“ der Junker,* gdyż ja buduję *„souverenité comme rocher de bronze“*. Moi panowie! *rocher de bronze* stoi dziś niewzruszenie i stanowi fundament pruskich dziejów, pruskiej sławy... pruskiego mocarstwa i konstytucyjnego (!) królestwa... Tej spiżowej skały, Panowie, nie zdołają wzruszyć ani wasze rezolucye ani *liberum veto*“ [2]).

Spiżowa skała nie myślała ugiąć się przed wzburzonymi falami „suwerenności ludu“. Konflikt trwał przez 4 lata (1862—66). Budżet był wciąż bezprawny, ale armia wzrosła do takich rozmiarów, że wreszcie można było rzucić ją na — zdobycie całych Niemiec i utworzenia cesarstwa. Aby sobie zjednać opinię tych Niemiec, które miano podbić, trzeba było zmienić ton. Wszak trzeba było walczyć z książętami niemieckimi i ich obalić, więc nie zawadziło na chwilę liberalnymi hasłami podkopać ich monarchizm, aby tem wyżej stanął pruski. I oto Bismarck postawił program utworzenia wspólnego parlamentu na podstawie równego, powszechnego, tajnego prawa głosowania! Zdumieli się wszyscy.

Bismarck brał wzory od Napoleona III., który swój tron cesarski wsparł na szerokich masach, a szczególnie chłopie konser-

---

[1]) Por. artykuł 44 i 61 o odpowiedzialności ministrów, kontrasygnowaniu i t. p.
[2]) Matthias. Bismarck 1915, 233.

watywnym, „cesarskim“, urządzał raz wraz plebiscyty, ale wcale parlamentaryzmu właściwego nie myślał zaprowadzać. To też i Bismarck, choć po rozbiciu Austryi i książąt niemieckich utworzył w istocie parlament północno-niemiecki, to jednak ponad niego postawił wyżej monarchię pruską i w tej myśli w dalszym ciągu odrzucił wszelką myśl odpowiedzialności ministrów. Przez to zażegnał raz na zawsze niebezpieczeństwo wybujania i przerośnięcia reszty Niemiec ponad głowę króla pruskiego, który nie będzie potrzebował się liczyć z wotum nieufności „Reichstagu“. Król pruski w swem ręku będzie miał całą armię Niemiec, a ta armia będzie uniezależniona od tego parlamentu, wówczas gdy budżet będzie nie coroczny, ale na cały szereg lat rozłożony. Takie zasady wprowadziła do Niemiec Sadowa, utwierdził Sedan.

Aby znaleść przeciwwagę przeciw parlamentowi, król pruski związał się w końcu i wsparł książąt niemieckich. Nie poszedł Bismarck wedle wskazówek kronprinza Fryderyka, który chciał usunąć książąt [1]) i utworzyć obok parlamentu „Izbę panów“. Nie! trzeba ich zostawić jako osobne ciało zbiorowe *(Bundestag)*, a monarchizm pruski znajdzie w niem podporę w razie rokoszu parlamentu.

Na takiej też podstawie zostało obwołane cesarstwo niemieckie. Koronę cesarską przyjął w Wersalu Wilhelm z rąk książąt niemieckich, a kiedy spóźniona przybyła do Wersalu deputacya 30 członków parlamentu północno-niemieckiego, a na ich czele ten sam Simson (który to przed 21 laty nadarmo Fryderykowi Wilhelmowi IV. ofiarowywał koronę niemiecką w imieniu parlamentu frankfurckiego), wówczas cesarz odparł, „że uchwała ich ma w jego oczach drobne znaczenie, a Opatrzność raczej wyraża się w jednogłośnej decyzyi **książąt** i wolnych miast niemieckich“.

Z pośród fal jeszcze dumniej i potężniej wysterczała „spiżowa skała“. W blaskach dyademu, koronującego jej szczyty wydawała się jeszcze bardziej niezłomna i nieugięta. Sedany robią swoje. Marzyciele-republikanie z r. 1848 zniknęli. Monarchia pruska oczarowała wszystkich. Na cześć jej zaczęli pisać hymny pochwalne wszyscy historycy świata.

---

[1]) Pamiętnik Fryderyka III. Freytag, *Kronprinz und die deutsche Kaiserkrone*, 1889.

Ale w chwili tryumfu narodziło się, jak to często bywa, i ziarnko wrogiej mocy. Sedan był początkiem cesarstwa niemieckiego, ale równocześnie grobem cesarstwa Napoleona III. a genezą tak republiki jak i nowej bardzo demokratycznej konstytucyi we Francyi. Odtąd też Paryż stał się ogniskiem propagandy tych haseł wolnościowych.

Jak wobec tego miały zachować się Niemcy? Monarchista hr. Harry Arnim, ambasador niemiecki w Paryżu, sądził, że ta propaganda jest niebezpieczna i że w interesie Niemiec należy popierać rojalistów we Francyi. Inaczej „żelazny kanclerz“ [1]). Choć sam gorliwy monarchista, rozumował, że republika osłabi i podkopie siły Francyi, że wprowadzi w nią chaos, że w razie przywrócenia monarchii przyszliby do steru katolicy i toby stało się pomostem koalicyi Francyi z Austryą przeciw Prusom, że wreszcie Francya jako republika będzie tak odrażającą dla cara, że Rosya wskutek tego nigdy nie poda ręki Francyi przeciw Niemcom. Gdy Arnim upierał się przy swojem zdaniu, Bismarck go odwołał — usunął — wygnał — wreszcie skazał na wygnanie za zdradę stanu! Tem niemniej żelazny kanclerz gruntownie się pomylił w swych przypuszczeniach co do osłabienia Francyi, a szczególnie co do jej oddziaływania na Rosyę! nie wiele czasu upłynęło, a 25. sierpnia 1891 r. na pokładzie okrętu Marengo, car stojąc wysłuchał Marsylianki, a 25 lat znów potem carat przemienił się — w republikę! Słusznie przewidywał Arnim, tylko że przewidywał rzeczy na dalszą metę — niż Bismarck.

Co prawda najbliższe lata przyznawały słuszność „żelaznemu kanclerzowi“. Groza republikanizmu francuskiego stała się na razie kitem trójcesarskiego sojuszu. Ten monarchiczny „święty“ sojusz zaproponował żelazny kanclerz już w 12 dni po obwołaniu republiki francuskiej, zainaugurował go na zjeździe trzech cesarzy w Berlinie (we wrześniu 1872 r.) i tak go odnawiał i jak mógł podpierał, że dotrwał aż do r. 1887 [2]). Trwając w tym trójcesarskim sojuszu, Bismarck dbał pilnie o to, aby nie dopuścić żadną miarą do konstytucyi w Rosyi [3]). W tej myśli pisał do Wilhelma I

---

[1]) *Gedanken und Erinnerungen* II, 170.

[2]) *Hamburger Nachrichten* z 16. stycznia 1897 r.: „Sojusz trzech cesarzy skończył się w r. 1887, w jego miejsce kontrasekuracya Niemiec z Rosyą (bez Austryi) przyniosła ten sam rezultat“.

[3]) Askenazy, „Nowe Wczasy“, 410—411; Hohenlohe, *Denkwürdigkeiten*.

(w sierpniu 1879 r.): „Czy panslawiści dążą do konstytucyjnej Rosyi pod W. Ks. Konstantym, czy to do republiki czy też do nihilizmu, to jedno jest pewnem, że nie dopuści do tego trójcesarski sojusz. Tamte prądy w Rosyi dążą do zawieruchy światowej *(Weltbrand)*" [1]). Aby ten sojusz umocnić, Bismarck przejaskrawiał rewolucyjne usposobienia Polaków, wskazywał na wzrost socyalnej demokracyi. Zamordowanie Aleksandra II. (18. marca 1881 r.) jeszcze bardziej zacieśniło węzły trójsojuszu, a wspólna obrona pierwiastku monarchicznego była osią zjazdu w Skierniewicach (15. września 1884 r.) [2]).

Ten trójcesarski sojusz spełniał swą rolę jeszcze w jednym kierunku. Oto dwuprzymierze, a potem trójprzymierze wskutek tego sojuszu nie zwracało się głównie swem ostrzem przeciw Rosyi, bo ten równoczesny sojusz łagodził je, ale głównie wymierzone było przeciw republice francuskiej. Przez to trójprzymierze monarcha włoski występował przeciw Francyi republikańskiej i przeciw jej propagandzie wśród ludów romańskich [3]). Tak też ujmowali trójprzymierze publicyści francuscy, zwąc je „świętą Hermandadą", zorganizowaną dla uchronienia Europy od zrewolucyonizowania przez Paryż [4]).

W związku z tem silnie zachowawczem i monarchicznem stanowiskiem cesarstwa niemieckiego na zewnątrz, idzie ręka w rękę podobny duch w polityce na wewnątrz. Historyk niemiecki Valentin pisze [5]): Lata 80-te XIX. wieku, „to właściwa, klasyczna Bismarckowska epoka. Arystokratyczne i autorytatywne żywioły wszelkiego rodzaju łączą się z sobą i wypierają mieszczański liberalizm... Rozwój dokonywa się na rzecz i zapomocą militaryzmu, biurokracyi, kapitalizmu, klerykalizmu. Prądy przeciwne, które wychodzą od coraz potężniejszego czwartego stanu i posługują się gwałtownymi, anarchistycznymi środkami, zgniata się również gwałtem i przemocą".

---

[1]) Wertheimer, Andrassy III, 234—236

[2]) Hohenlohe, *Denkwürdigkeiten* II, 352.

[3]) Włoscy radykali urządzali w Paryżu demonstracye (w czasie obchodu na cześć Garibaldiego) przeciw związkowi Włoch z dwuprzymierzem (Singer, *Der Dreibund*, 1914, 69).

[4]) Valbert, *Revue de deux mondes*, 1883, LVII, 281.

[5]) Valentin, *Bismarck*, 1915, 119.

Monarchizm depcze też z jeszcze większym naciskiem niż przedtem wszelkie pomysły rządów parlamentarnych. Bismarck w polemice z Rickertem streścił swój pogląd w takich słowach „Między republiką a monarchią kładę linię graniczną zależnie od tego, czy parlament króla może zmusić lub nie do czynu takiego, któregoby z własnej woli nie popełnił. Do monarchii leżących po tej stronie granicznej zaliczam taki ustrój, jak nasz... Ustrój monarchiczny przestaje być sobą, jeśli większość parlamentu może zmusić monarchę, aby oddalił ministeryum, — jeśli może monarsze narzucić zarządzenia, którychby dobrowolnie nie podpisał, przeciw którym jego *veto* jest bezradne... Tam gdzie większość głosów może go do tego przymusić, tam jest ustrój republikański bez względu na to, czyby tam prezydent był dziedzicznym czy też nie"...

Bismarck przeciwstawiając ideę monarchizmu idei parlamentaryzmu, doszedł aż do uznania króla angielskiego — prezydentem republiki a nie monarchą. Aby raz na zawsze wytrzebić z głów poselskich wszelkie chimery o zasadzie odpowiedzialności ministrów a utorować drogę bardziej samodzielnem postanowieniom cesarza bez względu na wolę parlamentu, Bismarck wpłynął na Wilhelma I., że ten wydał głośny „*Erlass*" z 4. stycznia 1882 r. gdzie napisano:

„Ustrój Prus jest wyrazem monarchicznej tradycyi tego kraju, którego rozwój polega na żywym stosunku swoich królów do narodu... Jest tedy moją wolą, aby... zarzucono mniemanie, jakoby.. wyrażona w konstytucyi konieczność odpowiedzialnego kontrasygnowania ministrów odbierała moim rządowym aktom cechę samodzielnych królewskich postanowień"...

Do tego zasadniczego oświadczenia przywiązywali szczególną wagę Bismarck i Wilhelm I. [1]) i do dziś wynoszą je pod niebo tacy monarchiści jak Reventlow [2]), dowodzący, że w Niemczech nie panuje zasada „*le roi règne et ne gouverne pas*".

Kiedy współcześnie sfery liberalne nie odrazu myślały oswoić się z takim poglądem, a sam historyk Mommsen w Izbie poselskiej mówił, że akt ten wprowadza do Niemiec „*das absolute Regiment*", wówczas w obronie tego aktu wystąpił żelazny kanclerz i w gwałtownej mowie bronił go przed atakami posłów (24. stycznia 1882):

---

[1]) Erich Marcks, *Wilhelm* 395.

[2]) Reventlow, *Der Kaiser und die Monarchisten*, 1913, 209.

„Trzeba zwalczać — mówił — konstytucyjne legendy, które jakby jakieś rośliny pnące, pasorzytne kładą się na jasnych słowach konstytucyi... Poseł Mommsen bardzo się rozminął z prawdą (a to dziwna rzecz u tak znakomitego historyka) *(wesołość na prawicy)*, kiedy mi zarzucił, że ja chcę przywrócić *„das absolute Regiment"*. Jeśli wy nam tego silnego króla, tkwiącego głęboko w naszej stuletniej sławnej historyi, chcecie podpokać, wysadzić i umieścić go gdzieś w obłokach tak, że go nie będzie widać, to wprowadzicie chaos! Bez tego króla, który nie mógł się rozwinąć na podstawie waszej gospodarki, opartej na większościach, po dziś dzień jeszcze nie dokonalibyśmy zjednoczenia Niemiec. Pozwólcie królowi, aby się wydobył na jaw z ministeryalnego *incognito* i żeby bezpośrednio mówił do narodu".

Na drodze coraz to zacieklejszej walki z opozycyą parlamentu żelazny kanclerz doszedł aż do pomysłów skasowania wogóle parlamentu w Niemczech. Wyspowiadał się z takich zamiarów w rozmowie z Hohenlohem (23. października 1881 r.): „Niemcy nie umieją się obchodzić z tem delikatnem cackiem (parlamentem), jakie im dałem, oni je psują... Jeśli tak dalej pójdzie, to księstwa związkowe mogą powrócić do starego Bundestagu i zatrzymać tylko związek wojskowy i celny, *„den Reichstag aber aufgeben"* [1]). Zjednoczenie Niemiec oprze się wówczas wyłącznie na wzajemnym układzie najwyższego monarchy — cesarza z drobniejszymi monarchami — książętami [2]). Kiedy ponowne wybory nie skruszyły wcale opozycyjnej większości, Bismarck rzucił tę myśl wprost posłom w twarz:

„Nie dam sobie zaimponować większości parlamentu, Nie! moi panowie, w żaden sposób wy nie jesteście zdolnymi do tego mężami... Chcecie nas złamać, robiąc opozycyę, ale wy nas nie złamiecie, a raczej co innego się złamie, t. j. wspólny grunt, na którym się spotykamy (to jest parlament)".

Walka toczyła się z tem gwałtowniejszym rozmachem, że równocześnie Bismarck toczył zaciekły bój z socyalną demokracyą, a cesarz od czasu do czasu narażony był na attentaty. Śród tylu zamachów na jego życie — nabrały europejskiego znaczenia

---

[1]) Hohenlohe, *Denkwürdigkeiten* II, 320; por. Egelhaaf, *Bismarck*, 1911, 336.

[2]) W tym celu 4. kwietnia 1884 r. Bismarck przedstawił deklaracyę, (którą przyjął *Bundesrath*), że cesarstwo polega na układzie państw i księstw pojedyńczych.

dwa zamachy prawie w jednym miesiącu w r. 1878 (przy drugim polała się obficie krew Wilhelma). Jak cesarz donosi kanclerzowi [1]), trapiły go sny, przepowiadające tragiczny koniec konfliktu, sny, które omal się nie spełniły, gdy w Niederwaldzie w wrześniu 1883 r. podczas poświęcenia pomnika Germanii (Germanii trzymającej koronę cesarską) anarchiści już podpalili lont, aby cesarza i całe zebranie wysadzić w powietrze a tylko deszcz lonty zagasił [2]).

A gdyby Wilhelma istotnie nie stało, czy Bismarck ostoi się sam burzy przeciwników? Wilhelm był wszakże starcem nad grobem a kronprinz ulegał nazbyt wpływom żony Angielki, przejętej czcią dla zasad konstytucyi angielskiej [3]). Bismarck przewidywał to niebezpieczeństwo i chcąc z góry zabezpieczyć się przed wszelkimi niespodziankami na przyszłość — konferował już naprzód z kronprinzem w tej materyi. Kiedy w 1885 r. stary Wilhelm zapadł na zdrowiu, Bismarck odrazu wskazał cesarzewiczowi, że tylko pod tym warunkiem pozostanie przy rządzie, jeśli nie zaprowadzi się rządów parlamentarnych i nie dopuści, aby ministrowie byli wykonawcami woli większości parlamentu a nie króla [4]).

Konflikty możliwe po śmierci Wilhelma zażegnała śmierć wczesna cesarza Fryderyka III [5]).

W początkach panowania Wilhelma II. Bismarck stał się jeszcze bardziej „żelazny". Młodego cesarza nakłaniał do bezwzględnej walki z parlamentem, choćby nawet miało przyjść do wojny domowej. Gdy wybory do nowego parlamentu jeszcze bardziej pomnożyły szeregi opozycyi i nie było widoków uchwały na rzecz pomnożenia armii, Bismarck radził, aby rozwiązywać parlament raz za razem, aby skasować wybory tajne a nawet usunąć parlament, a gdyby w takim razie przyszło do rewolucyi — *„und wenn es zu Aufständen käme, energisch einschreiten"*. Ale młody władca, pełen zamiarów, nie był gotów rozpoczynać swego panowania od tego, że będzie *„seine Unterthanen totschiessen"* [6]).

---

[1]) Erich Marcks, *Wilhelm* 386.

[2]) Egelhaaf, *Geschichte der neuesten Zeit*, 1913, 178; Rambaud, *Histoire generale*, 388.

[3]) Helmolt, *Bismarck*, 1915, 323—325.

[4]) Matthias, *Bismarck*, 1915, 432; Koźmian, Działalność Bismarcka 385—399.

[5]) Por. Koźmian, Działalność Bismarcka, 389.

[6]) Hohenlohe, *Denkwürdigkeiten* II, 468, Egelhaaf, *Geschichte der neuesten Zeit*, 255.

Ostrzegał młodego władcę ks. Badeński Fryderyk: „będą ciebie nazywać tak jak twego dziadka księciem kartaczowym i w krwi swych poddanych będziesz broczył aż po kostki“ [1]). Wilhelm się zdecydował. „Nie chcę być nazywany księciem kartaczowym“, rzekł cesarz (jak pisze [2]) z zgorszeniem sam Bismarck) i zaniechał planów zamachu stanu.

Ale, jak słusznie pisze Erich Marcks [3]), Wilhelm II. nie stanął tu wcale w obronie parlamentaryzmu, ale tylko bronił swej własnej niezależności, swej woli osobistej i skorzystał z sposobności, aby się wyzwolić z przygniatającej go wszechwładzy mentora. Cesarz nie różnił się tu zasadniczo od kanclerza. I on również miał dalej panować bez uwzględnienia angielskich pojęć o konstytucyi i zasady odpowiedzialności ministrów, sam też niebawem rozwiąże ten sam parlament z powodu sporu o pomnożenie armii. Tu był tylko konflikt dwu potężnych natur. Bismarck chciał, aby tylko jeden on jako kanclerz wobec króla (a nie parlamentu) był odpowiedzialnym za całe grono ministrów, Wilhelm II. chciał raczej sam być niejako kanclerzem i z każdym ministrem komunikować się bezpośrednio. Na widownię dziejów miał wystąpić *„das persönliche Regiment“* monarchy, który w złotą księgę miasta Monachium wypisał jako swoją dowizę: *„suprema lex regis voluntas“* [4]). Bismarck tymczasem buntował się przeciw tym dążeniom i skarżył się, że nie uznaje zwyczajów bizantyjskich: *„Ich kann nicht mit Proskynesis dienen“* [5]).

W rezultacie żelazny kanclerz musiał odejść, a jego miejsce zajął posłuszny na skinienie generał pruski, Caprivi. I wówczas

---

[1]) Hohenlohe l. c. II, 468.

[2]) Do Ottona Kümmel'a 30. października 1892 r. *(Grenzboten* 20. stycznia 1907 r.).

[3]) Bismarck, 1915, 228.

[4]) Egelhaaf, *Geschichte der neuesten Zeit,* 1913, 242. Głośna jest mowa Wilhelma II. w Królewcu w sierpniu 1910, w której wspomniał o koronacyi Wilhelma I.: „I tu włożył sobie mój dziad, i to z własnego prawa, pruską koronę królewską na głowę, jeszcze raz wyraźnie zaznaczając, że dostała się mu wyłącznie od Boga samego a nie od **parlamentów,** zgromadzeń ludowych i uchwał ludowych i że się uważa za wybrany instrument Nieba i jako taki traktuje swoje obowiązki... Uznając siebie za instrument Pana... i ja też idę swoją drogą“. Mowa ta wywołała burzę.

[5]) Matter, *Bismarck et son temps* III, 593.

(ku zdumieniu świata) ex-kanclerz zaczął pozować na obrońcę parlamentaryzmu. Tak na rynku w Jenie 29. lipca 1892 r. wypowiedział piorunującą mowę przeciw pomazańcowi boskiemu i krzyczał: „Wierzy się, że się słucha Boga, gdy się tymczasem słucha poufnego doradcy... Powinniśmy szukać utwierdzenia przekonań politycznych w opinii publicznej i w **parlamencie“**. Historyk francuski Matter [1]), wskazując na ten niesłychany przeskok Bismarcka dodaje: „Bismarck parlamentarzysta! Bismarck apelujący przeciw królewskiemu autorytetowi do opinii publicznej, to coś okropnego!“ Ale prawdziwi zwolennicy konstytucyi nie dali się obałamucić krasomówczym wywodom starego ex-kanclerza i kiedy później pogodził się Bismarck z Wilhelmem II. i 1. kwietnia 1895 r. obchodzono 80-letnią rocznicę urodzin Bismarcka, wówczas parlament niemiecki odrzucił wniosek wzięcia udziału w tym obchodzie [2]). Gdy mimoto mniejszość, składająca się głównie z stronnictw zachowawczych, złożyła w czasie tego obchodu hołd Bismarckowi, ten w odwet rzucił się po dawnemu z całą furyą na ideę parlamentaryzmu i powtórzył dawną piosnkę o wyższości książąt nad parlamentem, gdyż tylko *„das deutsche Fürstentum“*, wcielone w króla Wilhelma I., zdołało dokonać zjednoczenia Niemiec.

Jakże różnym był ten starzec nad grobem — od drugiego starca, którego wydała równocześnie i czciła Anglia, od — Gladstone'a. Gdy *„the great old man“* umarł w tym samym roku, co i Bismarck — zdobył sobie hołd całej Anglii jako najwybitniejszy angielski mąż stanu XIX. wieku. Był on przeciwieństwem Bismarcka. Stał na przeciwnym krańcu, był najlepszym wyrazicielem czystego parlamentaryzmu, zwolennikiem coraz szerszego prawa wyborczego. Gdy wskutek braku zaufania Izby upadał, nie podnosił buntu jak kanclerz żelazny, uważał to za rzecz naturalną, ale też cztery razy był premierem i cztery razy upadał. Gladstone, gorący obrońca wszystkich uciśnionych, obrońca Neapolitańczyków przed despotyzmem króla Ferdynanda, obrońca Włoch, obrońca Grecyi, Bułgarów, Armeńczyków przed Turkami, obrońca

---

[1]) L. c. III, 611. Por. w tym czasie słowa Bismarka do Heysego: „Dawniej z całych sił starałem się, aby śród ludu podnieść uczucia monarchiczne i za to na dworach mnie chwalono a lud chciał mnie kamienować. Dziś lud mnie błogosławi, podczas gdy koła dworskie mnie unikają. Oto ironia losu“. L. c. 456.

[2]) Egelhaaf, *Bismarck*, 415.

Irlandczyków przed własnymi rodakami — stał na przeciwnym biegunie aniżeli żelazny kanclerz. Gladstone, wróg imperializmu i wojen a zwolennik wiecznego pokoju narodów, zapewne nigdy nie powiedział tych słów, które raz w przystępie jakiegoś „*Weltschmerzu*“ wypowiedział Bismarck do swego zaufanego [1]):

„Dusza moja jest smutna. Przez długie me życie nigdy nikogo nie uczyniłem szczęśliwym, ani swych przyjaciół, ani mej rodziny ani siebie samego. Popełniłem dużo nieszczęścia, dużo nieszczęścia. To ja jestem przyczyną trzech wielkich wojen, to ja sprowadziłem śmierć na pobojowisku 80.000 ludzi, których do dziś jeszcze opłakują matki, bracia, siostry, wdowy... Ale to wszystko sprawa między mną a Bogiem. Nie zyskałem stąd żadnej uciechy i po dziś dzień w duszy mej — burza“.

---

[1]) Matter III 612 (19. października 1877).

W.

Postawy moralne bohaterów i los w utworach Wyspiańskiego.

Motto: „Trzeba wniknąć w walory wzruszeniowe, utajone w świecie stworzonym przez poetę i walory te przetłumaczyć na język myśli, aby można było mówić o myśli Wyspiańskiego“.

St. Brzozowski.

I.

Tragizm w utworach Wyspiańskiego jest rezultatem, czy formą zetknięć i zdarzeń bohaterów z treściami metaficznemi, Bogiem, Losem, Śmiercią i t. p. Tragizm jest więc tam jakimś sprawiedliwym lub niepojętym prawem, które na tym pograniczu ludzkiego i boskiego władu sądzi i rozstrzyga. Całe nieporozumienie krytyki polega na tym, że punktu ciężkości tragizmu szukano w utworach Wyspiańskiego, albo w losie albo w psychologii, podczas gdy utwory Wyspiańskiego pod schemat „tragizmu opartego na fatum“, ani pod t. zw. tragizm szekspirowski całkowicie podciągnąć się nie dadzą [1]). Zadaniem niniejszego artykułu będzie wskazanie tych różnych postaw *(atitude)* metafizycznych ducha Wyspiańskiego, które choć zmienne jak ogólny uczuciowy stosunek do życia, jednak dadzą się ująć w szereg typowych takich stanowisk. Znajdowały one wyraz w postawach metafizycznych (względem losu, świata i t. p.) bohaterów, służąc za źródło i podłoże tragizmu.

---

[1]) Całkowicie zdaję sobie sprawę z wątpliwości i chęci zastrzeżeń, jakie budzić mogą moje uwagi w czytelniku; nie mogę tu przedstawić argumentów wszystkich, znajdą się one w pracy, której ten artykuł jest fragmentem.

Ważniejszą rzeczą niż badanie wpływów, które przeważnie pomagają nam do określenia, co w utworze nie jest swoiste, a więc istotne, jest wniknięcie w utwory, które omawiany pisarz cenił, kochał. Te nam powiedzą, kim był ten, co je miłował: *„Du gleichst dem Geist, den du begreifst"*. One nie objaśniają: przez zestawienie utworów autora z dziełami przezeń wielbionemi, rzucą nam się w tej chwili w oczy rzeczy pokrewne i wskażą się same. Równie ważną rzeczą jak znajomość studyum o Hamlecie (które już nauczono się cenić również jako komentarz do dzieł Wyspiańskiego), jest według mnie klucz inny... entuzyazm Wyspiańskiego dla Sofoklesowego „Edypa-króla". Zachwycać Wyspiańskiego mogło w nim to, co było sformułowaniem dlań rzeczy najgłębszych, najistotniejszych (Taki przecie powód i zachwytu nad „Hannele" Hauptmanna, że tam ujrzał zrealizowaną swoją technikę teatralną). W czym leży czar i tragizm „Edypa-króla"? Zdaje mi się, że mylą sądy o tragikach greckich 1) niezbyt ścisłe odróżnianie tragizmu mitu od tragizmu utworu na nim (micie) osnutego, 2) jakieś niezdecydowane kryteryum samego tragizmu, wahające się między naszym poczuciem, wżywaniem się w przypuszczalne stanowisko ówczesnych widzów. Tylko tragizm mitu o Edypie polega na fatum, w tragedyi los jest tylko pewną daną, na której tragizm bohatera się opiera. Los, koleje życia Edypa, aczkolwiek same niewątpliwie tragiczne, są w tragedyi „Edyp-król" tylko czemś danym, na tle którego odgrywa się druga tragedya. Edyp-król z tragedyi Sofoklesa (nie z mitu) jest dlatego tragicznym, że sam po poznanie własnego losu sięgnął, sam go niejako tym wywołał. 1) Sam jest sprawcą tej świadomości, która go moralnie zabija. 2) Sam siebie przeklął, tam na siebie wydał wyrok. To kościec tragedyi, wszystko inne dlań materyałem.

Skonfrontujmy tę cechę z utworami Wyspiańskiego, co mają wspólnego? Jak w większości dramatów i tragedyi Wyspiańskiego, tak i tu nie los jaki taki przesądza o tragiźmie, choć jest też dany, a stosunek człowieka do losu, do swego losu. Ale w obrębie tego podobieństwa, są jeszcze właściwości bardziej już szczegółowe, również podobne. Co nas najgłębiej wtrząsa, co najsilniej tragizm „Edypa-króla" podkreśla, — to ślepe i naiwne po los swój sięganie, to dziecięco-natarczywe domaganie się poznania prawdy życia — która jest otchłanią. Szerokie tragiczne

uogólnienie, jakie Edyp-król" nasuwa, to co tę tragedyę czyni nieśmiertelną, to ta, zawarta w ciasnych szrankach symbolu, prawda, że każde życie jest wywoływaniem własną wolą swego losu, naiwnym a chciwym sięganiem po straszliwe nieznane. To, cośmy powiedzieli, zbiera nam w jedność, ogniskuje cały szereg cech tragedyi Wyspiańskiego. Tak czynią jego bohaterowie, co czynem własnym dochodzić chcą prawdy życia. Tak czyni Altea, Hektor z „Achilleis": „Żywota mego tajemnicę chcę zgadnąć", Telemak i wielu innych bowiem: „Na co stać kogo, tajemnic tych sięga, wieczna w tym siła, groza i potęga" (o Hamlecie).

Antygonę wywyższono zdaje się dzięki temu, że odpowiadała przypadkowo pewnej doktrynie o istocie tragizmu [1]), nie dało się tu zmylić poczucie tragika. Wyspiański miał słuszność, podnosząc ten utwór Sofoklesa. Jest tu coś zatrważającego wzniosłego w tym zetknięciu się człowieka oko w oko ze swym losem. Cała doniosła różnica między tą tragedyą, a taką, która tego elementu nie zawiera, polega na tym, że tu tragizm nie tylko jest rezultatem, przejawem samego zajścia, które nań wskazuje jak na prażródło, ale dany jest tu sam tragiczny los bezpośrednio. Podkreślam: nietylko dane jest nam przejrzeć w tragicznym zdarzeniu palec Boży, fatum, ale on sam się objawia, staje oto przed Edypem ta prawda, której nie znał, w którą już, za sprawą Jokasty, poczynał wątpić, i pada ten, kto los ujrzał. (Jeżeli chodzi o różnicę potęgi tragizmów, to jest taka jak między misteryum obrządku religijnego, które spełnia się tylko symbolicznie, a takim nabożeństwem, w którym przejawia się sam Bóg). Tu miejsce wskazać na trzeci punkt styczny z tragiką Wyspiańskiego, w której los niekiedy należał do... osób dramatu. „Hamleta" pojął jako dyalog z losem; wspomnijmy rozmowę biskupa ze śmiercią (Skałka); koniec „Klątwy", gdy Bóg sam w piorunach „mówi Słowo", albo to tryumfalne i boskie „jam jest" w końcu Akropolis. Bezpośredniość oddania tragicznego żywiołu, rzekłbym nagiego tragizmu, źródłem tej grozy i potęgi. Ale to ostatnie pokrewieństwo nas tu nie obchodzi. Zajmiemy się tą kwestyą, którą nam zestawienie

---

[1]) Tragiczny konflikt ma polegać na jednostronności idei reprezentowanej przez każdą postać. Katastrofa jest karą za te jednostronności i tryumfem całej prawdy!! Zwolennikami tej teoryi był Nagel i Kremer u nas.

wyraźniej postawiło przed oczy, tym specyficznym stosunkiem: losu człowieka, pozostawiając kwestyę natury samego losu (która wcale prostą nie jest) jako otwartą.

Wzruszeniowa reakcya na życie przybiera formę jakiejś określonej postawy względem życia: można życie wyzywać do walki, lub czuć się przez nie porwanym i unoszonym i t. p. O ile ta najgłębsza treść życia ma dla nas charakter metafizyczny, to stosunek wzruszeniowo-wyobrażeniowy do tej treści czy istoty nazywam postawą metafizyczną. Postawy metafizyczne bohaterów Wyspiańskiego mogły być wyrazami jego własnego ducha, zależnie więc od rozwoju i życia Wyspiańskiego możnaby się dopatrzeć równoległej ewolucyi w postawach bohaterów dramatów i tragedyi. Jest rzeczą jasną, że postawa metafizyczna bohatera, a jego tragizm, tragizm, który z tej postawy może wyniknąć, to dwie różne rzeczy. Tych rzeczy jednak dość ściśle nie odróżniając, próbowano mimo to ułożyć utwory Wyspiańskiego w pewien szereg ewolucyjny [1]). Nas tu obchodzą postawy metafizyczne i te według mnie będziemy mogli tylko sztucznie uszeregować, gdyż wszelkie konstruowanie i dopatrywanie się ewolucyi, jakie dotąd proponowano, uważam za najzupełniej błędne. Jeżeli p. Siedlecki w swej książce (str. 217) twierdzi, że dopiero w „Achilleis" i „Powrocie Odysa" mamy dobrowolne oddanie siebie ofierze i w tym widzi szczyt jakiejś ewolucyi „od Grecyi do Renesansu", to myli się dwa razy: 1) Już w „Legendzie" i „Klątwie" jest ta postawa bohatersko-ofiarnicza i *par excellence* chrześcijańska (co mówią Sten i Sinko o niechrześcijańskim charakterze klątwy i ofiary, to omyłka). 2) Tylko dogmatycznym, psychologicznym interpretowaniem mógł p. S. dojść do wynalezienia w „Odysie" idei ofiary. Prof. Sinko słusznie widząc w „Powrocie Odysa" walkę z Przeznaczeniem, uważa to za szczyt innej ewolucyi. „W tem wielkość jego (Odysa) i poety, który wyzwolił się z antycznego szablonu, ciążącego nad wszystkiemi dziełami od „Legendy". (Antyk Wyspiańskiego, str. 296). Twierdzenie, że Wyspiański tkwił w szablonie, polega na systematycznem przeoczaniu przez wszystkich (wyjątek Ortwin) oryginalnej jego cechy: do tragedyi opartej na

---

[1]) Jeżeli prof. Sinko chwali „Powrót Odysa" jako tragedyę najlepszą (Wyspiańskiego), podnosząc jego (Odysa) przeciwstawianie się losowi, to miesza tu tragiczność z moralną wartością postawy. Ostatnią używa za kryteryum mierzenia wartości tragedyi jako tragedyi. „Antyk Wyspiańskiego", str. 296.

fatum wprowadza inną, której tragizm zgoła na czym innym polega, np. tragizm Młodej, Wandy. O Wyspiańskim można rzec tylko, że mięszał dwie techniki, konwencya walczyła w nim z trafnym poczuciem tragizmu (oczywiście tyczy to niektórych tylko utworów). Fatum w Legendzie II-ej to tylko sytuacya, tło, które o naturze tragizmu Wandy nic nie mówi (obacz interpretacye „Edypa-króla"). Sąd ten też polega na niezdawaniu sobie sprawy z bogactwa stosunków (i ich charakteru) do losu; tym się tu zajmować będziemy. Wreszcie Odys nie jest pierwszym (jak to obaczymy poniżej) bohaterem Wyspiańskiego, który z losem się zmaga. Odys też nie jest wyrazem najwyższej moralnie postawy metafizycznej Wyspiańskiego. Jednym słowem wszelkie konstrukcye ewolucyi moralnej Wyspiańskiego są błędne, a ja wogóle linii jednej nie widzę, raczej wahanie między różnemi postawami. Szereguję je tylko, by je usystematyzowawszy wyraźniej ująć i mówię obszerniej o najwyższym etapie.

Postawa bohaterów Wyspiańskiego względem losu jest czynna; w każdym prawie utworze któryś z bohaterów w ten czy inny sposób czynny stosunek do losu przejawia. W tym przejawia się ten bohatersko-władczy lub bohatersko-ofiarny stosunek poety do życia. Najzupełniej błędnym mimo wszelkie pozory prawdy, jak tego poniżej dowiodę, jest twierdzenie Brzozowskiego (z powodu dramatów „greckich"), że „sprawa tych postaci jest już zasadniczo przesądzona przed właściwym rozpoczęciem dramatu. Rozegra się przed widzami, wyjaśni przed nami, ale właściwie jest zamknięty. Widz i autor nie biorą w nim udziału [1]). Omyłka polega na 1⁰ wyrokowaniu o całym utworze na podstawie jednego bohatera (Meleager, Klątwa), 2⁰ mięszaniu tragizmu mitu z tragizmem utworu, 3⁰ na przeoczeniu paradoksalności losu w utworach Wyspiańskiego. Jest w tych utworach ten sam paradoks, który wikła po dziś dzień dysputy o wolności woli, zawarty jest i w mitach o wolnych bogach... nad któremi jednak włada mojra. Los w tragedyach Wyspiańskiego zwisa nad bohaterami lub jest utajony, ale pozostaje jeszcze cała skala ludzkich interwencyi, stosunków doń. Los w utworach Wyspiańskiego tylko jest (= istnieje), ale nie jest przesądzony.

---

[1]) St. Brzozowski: „St. Wyspiański", wydanie pośmiertne, str. 62.

Najniższe stadyum, to takie, gdy jeszcze się swego przeznaczenia nie zna, choć czuje się, że być musi i pół naiwna tęsknota pcha do tego, by go ujrzeć. „Daj mi do ręki nić, niech się przez dłoń mą snuje, niech pod palcami czuję, dolę moją człowieka“, z taką prośbą zwraca się Stary Krak do parki. Nie jest-że to pierwsze stadyum samego poety u początku drogi? Pierwsze słowa: chcę żyć i poznać to co mem życiem.

Można w los jeszcze wątpić i kusić go jak Altea w „Meleagrze“. Choćby w zasadniczym kierunku, w formie alternatyw los Meleagra był przesądzony, można go podjąć, jak to czyni Altea, można samemu zmienić: spełnić lub odrzucić, odwlec go lub przyspieszyć. Człowiek nie wiedzący, co ma czynić, człowiek chwiejny, jak Altea, wyzywa los na próbę. Kieruje człowiek przeznaczeniem i nie wie, co czyni. Tragiczne w tym, że sam jest sprawcą spełnienia losów straszliwych, nie wiedząc, co czyni.

Można, gdy się jest „duszą obudzonym“, wznieść się do losu, gdy się go ujrzało i bohatersko los swój samemu spełnić, jak Wanda, jak Młoda. Może to być chęć czynnej ofiary, albo chęć wzięcia losu na siebie, zrównania się z nim. Wanda w Legendzie (II-ej) sama chce los swój spełnić, nadaje temu kształt, co w losie wskazane było tylko jako kierunek. Ofiarnik i bohater sam los przesądza, a nie los o nim przesądza. O takim mówi poeta: „Ten zawładnie, któremu moc da Boża ręka, moc rozumu i siły. Władza zwie się męka“ — że się odważy wybrać dolę przeznaczoną („Powrót Odysa“, str. 79).

Tragiczni są ci, nie że na zagładę skazani, jeno że muszą zginąć, by zyskać, że tryumf — zatraceniem.

Ale można jeszcze los swój z nicości własnym czynem dobywać, los jest czemś, co się, żyjąc, stwarza, jest on wraz z życiem rodzącym się zwierciadłem ducha, rosnącym posągiem o kształtach własnych czynów. („Ja chcę mieć życie, jakie moje czyny“, Telemak). Jako postawa metafizyczna jest to *fiat!* wyrzeczone niewiadomemu. Zrozumieć los — znaczy żyć! „Żywota mego tajemnicę chcę zgadnąć, Dzień rozstrzygnie“, mówi Hektor w przeddzień walki. Tragicznemi są bohaterowie przez to, że sami są sprawcami losu, ale dopiero na tle założenia pessymistycznego: każdy los jest straszliwy. Przeciwstawnem do omówionego stanowiska jest poczucie się narzędziem losu. Już nie sam człowiek

spełnia, bo chce jak Wanda, ale przezeń się spełnia niewiadome lub półwiadome. To czuje Bolesław: „Gdy droga, która znaczy bieg niezłomnych Twoich praw i kar przez naszą idzie pierś i krew, weź krwi serdeczny dar“. Nie wie, ku czemu to, ale musi spełnić. „I niech się te rzeczy dzieją, których się tajemnica we mnie kryje“ („Bolesław Śmiały“, dramat). I to jest tragizmem człowieka, że porwany jest i zmiażdżony tym przepotężnym, przerastającym jego władzę, wybiegającym daleko poza szranki jego ludzkiej ograniczonej wiedzy i mocy, losem, a jednak to, co go miażdży, jest nim, z niego bierze początek, czy przezeń przepływa. Takim np. Bolesław, Lelewel. Taki do losu nie dorósł, albo co jedno, los go przerósł. Z tym stanowiskiem związane poczucie nieodpowiedzialności czy współodpowiedzialności siły wyższej: „Bóg ze mną zbrodnie dźwiga“, mówi Odys i Bolesław.

Najbardziej aktywność w stosunku do przeznaczenia jest widoczna (choć to nie znaczy, by inni wszyscy byli biernemi), gdy bohater woli przeznaczenia się przeciwstawia, lub ją neguje: takim jest i Konrad, który mówi: „ja wiem, lampę trzyma człowiek ślepy i nazywa się przeznaczenie, a na lampę dmuchnąć mogę ja i wtenczas co“ (Wyzwolenie). Takie chwile przeczenia przeznaczenia ma i Bolesław [1]). W tym stanowisku zachodzą wahania między zmyleniem, oszukaniem losu, a walki z nim. Takim jest Jakób, który los (błogosławieństwo) podstępem zmienił, by znowu porwać się do walki: „Bogu przemocą dostoję, choćby wieczysta męka“ („Akropolis“). Takim jest Odys, to od klątwy ucieka, to idzie wbrew doli. Ale to nie jest stanowisko najwyższe, jak sądzi prof. Sinko (choć zastrzegam się, że nie wiem, czy mówił tylko o tym, że tragizm Odysa najwyższy, czy postawa moralna, czy miał całe utwory na myśli, czy postawę samą bez względu na to, że nie jest konsekwentnie przeprowadzona w całym utworze), bowiem zmóc los znaczy inaczej mu ulec — w tym cały tragizm. Najwyższym ten, który do Przeznaczenia swego dorósł duchem, tak iż on i Los, to jedno. Ku temu dochodził Hamlet stopniami. Ku temu wzniósł się poeta już pisząc Achilleis i w tym duchu przerobił Legendę. Menelaus mówi: „ja jestem ten, który sądzi i czeka znaku“. Nie

---

[1]) Przypominam, że omawiam te postawy niezależnie od tego, jak one się przejawiają, czy w utworze jakimś dominuje jedna, czy daje się wyczuć zmienność różnych stanowisk, jak to jaskrawo widoczne w „Achilleis“.

czyni nic innego niż to, co przeznaczenie, nie dlatego, że ono nim zawładnęło, ale, że, co on czyni sam, to jest przeznaczenie. Priam mówi: „Wtedy rzeknę losom, niech płyną... wszystko przyjmę, otwarte mam oczy“... („Achilleis“). To szczytowy moment w rozwoju Wyspiańskiego. Znamienne i potrzebne dla zrozumienia tego stadyum są słowa z rekonstrukcyi Hamleta. „Laertes się już w zwierciadle swym przejrzał, a Hamlet jeszcze patrzył w głąb swej duszy“. Z chwilą, kiedy Hamlet duchem rozrośnie do Losu... będzie mógł przejrzeć się w nim jako w zwierciadle, bo on i Los wtedy będą jedno. Wżyjmy się w psychologiczną genezę tego metafizycznego stanowiska Wyspiańskiego. Własny jego żywot, twórczość, poczucie powołania, słowa i wieku — wszystko to musiało stopić się w jedno poczucie spełniania losu, przeznaczenia. Życie, los, jaki żyjąc stwarzał, wszystko to nabierało jakiegoś objektywnego bytu. W tym objektywnie istniejącym bycie odbijało się jak w zwierciadle, jego własne życie. Przeznaczenie — to rzut na płaszczyznę nieskończoności linii żywota. Im głębszego sensu nabierało dlań jego własne życie, im zdało się jednolitszym, tem wyraźniejsza linia losu. Szczytem życia, szczytem jego wartości jest poczucie doskonałej jednolitości, kiedy każdy wątek życia pozostaje do całości w stosunku konieczności z istoty tego życia wypływającej. Jest to zarazem moment sankcyi wszystkiego we własnem życiu, zgoda nań ze wszystkiem, czem ono jest, zgoda na wszystko, choćby najstraszliwsze, bo wszystko wypływa z istoty życia, niemasz już nic z istotą jego niezgodnego. Tu się te dwa poczucia zbiegają: moment najwyższej zgodności, harmonii z sobą sankcyi danej życiu. Jest też momentem najwyraźniejszego widzenia linii własnego życia, losu. Toż jest właśnie Hamletowy moment dorośnięcia do losu i zgoda nań: „Los swój w Boże złożony ręce przyjmie. Przyjmie wszystko, co los dopuści“ (Strad o Hamlecie, str. 97). A wszystko, co tu Wyspiański o Hamlecie mówi, jest psychologicznie zupełnie równoznaczne ze słowami: „Każdy niech taki będzie, jaki jest i niech taki zostanie“. Kto jako szczyt życia wyczuwa zgodność ze sobą — ten poczucie identyczności ze sobą musi uważać za postulat dążeń. Dlatego słowa: „Każdy niech taki będzie, jaki jest i niech taki zostanie“, są dopiero zrozumiałe i „konieczne“ na gruncie tego samego psycholohicznego stanu. W istocie więc wszystkie prawdy głoszone przez Hamleta — Wyspiańskiego są

różnemi wyrazami tego samego stanu, różnemi obliczami tego samego zjawiska. Tyczy się to i zdania: „Wszystko na tym, żeby być w pogotowiu“.

Kto w poczuciu absolutnej jednolitości życia (choćby to była harmonia tragiczna) ujrzał swój los, jako coś mającego swoje objektywne i metafizyczne znaczenie, ten go, jak Hamlet, przyjął. Kto już wie, że nie może być w jego życiu, które ma metafizyczną wartość, nic przypadkowego — wszystko jest losem i tym, co z koniecznością z niego wynika, kto to przyjął — temu pozostaje być w pogotowiu. Jest to moralna postawa już ponad wszelką brawurą wyzywania losu.

Wniknąwszy w psychologię tego stanu, we wszystko, co zeń wynika, musimy uznać tę postawę za najwyższą. Jak to wartościowanie jest ugruntowane, jak naturą ludzką uzasadnione, dowodzi jego niezmienność. Prof. Sinko powiada, iż „Wielkość Zeusa polega przedewszystkiem na tym, że jego myśli i zamiary są prawie zawsze identyczne z Przeznaczeniem“ (str. 175). Jeżeli istotnie Grecy tak sądzili — jest coś olbrzymiego w tym, że zawsze za najwyższe uznane było to samo. Wszystkie inne postawy bohaterów były tylko etapami w drodze ku temu. Każda była tylko „kształtem z ducha zdjętem“, ducha, który je tworzył. Możemy więc powtórzyć za innym tragikiem, Hebblem: „Człowiek, który pojął swój stosunek do wszechświata z punktu widzenia konieczności, osiągnął szczyt doskonalenia się“.

II.

Omówiliśmy jedną stronę tej sprawy, nie mniej złożoną jest kwestya, jaką jest treść tej potęgi, wobec której się te postawy zajmuje. Czym jest Los w sztuce Wyspiańskiego. Trudność polega na tym, że j e d n e j i p r o s t e j o d p o w i e d z i być nie może. Typowym przykładem błędnego założenia, z którym nigdy do zrozumienienia istoty losu u Wyspiańskiego nie dojdziemy, jest stanowiska Markowić'a. Polega ono na stawianiu dwu alternatyw: albo Wyspiański wierzy w fatum jak starożytny Grek — albo nie wierzy i los to symbol, lub konwencya, które należy przełożyć na język psychologii. Jedni w rozstrzygnięciu pomagają sobie tym, że Wyspiański był metafizykiem, inni podnoszą, że Wyspiański był człowiekiem „nowoczesnym“, co w ich pojęciu

wiarę w przeznaczenie wyklucza. Wszystko to twierdzenia ludzi, którzy „mają tak — za tak, a nie — za nie, bez światłocienia". Stwierdzenie, że los — to szablon, którym się posługiwał, nic nie objaśni, skoro gra on realną rolę, jest realną siłą w tragedyi. Nic jeszcze nie znaczy stwierdzić, że Wyspiański pojmuje los jako coś immanentnego, własny wytwór człowieka, bo te psychiczne potęgi mają u Wyspiańskiego tak wybitne piętno metafizyczne, że ono utrwala ich byt transcendentny i uobjektywnia je. Trzeba pamiętać, iż w chwilach najgłębszych wzruszeń wydobywają się na jaw, w najgłębszym podglebiu ducha utajone tendencye i potrzeby duszy. Nigdy nie rozstrzygniemy, czy to w chwili ekstatycznych uniesień dopiero jesteśmy zdolni przejrzeć pewne prawdy, czy słuszność ma myśl trzeźwa, która je odrzuca. Niewątpliwie duch Wyspiańskiego znał całą skalę wahań między krytycyzmem trzeźwego umysłu, a niezachwianą wiarą objawień w chwili ekstazy. Los był wartością zmienną od tych zmiennych stanowisk zależną. Biorąc najogólniej, los był dla poety wykładnikiem jakiegoś x, stanowiącego metafizyczną stronę spraw ludzkich.

Los jako pewna konwencya, pewna forma literacka, ma to do siebie, że może być napełniona coraz to inną treścią, może być nie tylko w każdym utworze czym innym, ale w obrębie tego samego utworu może nabierać coraz innego charakteru; w tym kryje się cały urok niedopowiedzenia, jaki cechuje symbol. Wzrost treści losu jako symbolu, może pozostawać w stosunku prostym do wartości moralnej, siły, namiętności bohatera. Gdy ta nie posiada piętna metafizycznego — treść tego symbolu spada do poziomu literackiej konwencyi. Los więc jest takim metafizycznym X, pozostającym w stosunku funkcyonalnym do losu w znaczeniu empirycznym, jakichś konkretnych psychicznych, czy historycznych potęg. Gdy taka potęga psychiczna nie ma piętna metafizycznego, to los spada do poziomu konwencyi, literackiego symbolu, jest to wypadek grawiczny. Tą zmienną wartość treści losu uzmysłowił nam sam Wyspiański i to... graficznie w tym zdaniu (pisząc o Hamlecie):

„I aktora i autora obchodziła tragedya, dramat ich obchodził, los ludzi, LOS LUDZI"...

Los więc — to nie wymyślna patetyczna nazwa, czy symbol tylko nieprzepartej namiętności, jako tylko siły psychicznej — to namiętność w metafizycznej potędze, albo, jeżeli kto woli,

namiętność, uczucie, które staje się metafizyczną potęgą. Siła ścierająca się w tragedyi jest czemś ludzkim i zarazem czemś, co ma metafizyczny byt, jest jednym i drugim. Możnaby w niektórych tragedyach ułożyć cały szereg takich gradacyi treści losu. Bolesław Śmiały i Biskup to ludzie, ale zarazem potęgi historyczne, które względem siebie odgrywają rolę losu, są nim. Ale są nie tylko potęgami historycznemi, ale i metafizycznemi, o ile te siły historyczne, dążności, nabierają jakiejś ponadludzkiej wartości. Stąd możność takiego przesuwania wartości, treści identyfikowania Biskupa ze Śmiercią i t. p. Słownictwo Wyspiańskiego wiele nam objaśnia, wyrażenia np. takie, jak „człowiek w potędze Boga“, „w obliczu Boga wstałem“ — czyli człowiek w metafizycznej potędze; człowiek wobec czegoś, co ma metafizyczną wartość. Powiedzieliśmy tu człowiek wobec, a więc jest coś, co istnieje niezależnie odeń, jest coś w tragedyi, co jest czemś więcej niż rzutem treści empirycznej na płaszczyznę nieskończoności. Mówimy wciąż, że treść losu bywa różna, bywa więc i o treści, której zasadą jest to, że jest objektywna, tym nie-ja, wobec bohatera. Oczywiście może być to i konwencyonalne usymbolizowanie zewnętrznej potęgi, ale i ta treść żyje i może się zmieniać. Wskażmy parę przykładów: Sam proces twórczości na zmianę treści losu wpływa. Mógł Wyspiański, przystępując do pracy, mieć przed oczami los, jako zwykły symbol, a ten rósł, zmieniał się. Przypomnijmy sobie, co mówił o swych wizytach za kulisami w studyum o Hamlecie: „Nikt nie jest mi w stanie wyperswadować, że to nie Lady Makbet, a Modrzejewska“. Jeżeli tak podlegał czarowi cudzej sztuki, cóż mówić o tworach jego własnych, skoro wiemy, że każdy artysta, tworząc jakąś postać, zaczyna mieć coraz silniejsze poczucie objektywnego jej istnienia. Im bujniejsza fantazya, tym wyrazistsza, „objektywniejsza“ wizya. Symbol, który tworzył, zaczynał żyć, coraz bardziej się od twórcy uniezależniał, poczynał sam działać... Wyspiański uwierzył w Los, że jest objektywną potęgą. Trzeba pamiętać też, że im silniejszy konflikt, tragiczny, tym potężniejsze siły, które się ścierają, im tragiczniejsze zmaganie z losem... tym los twardziej, bezwzględniej, objektywniej istniejącą potęgą. Im tragiczniejsza sytuacya, im los bardziej nieprzemożony, tym bardziej jest! To wszystko czuć musiał, wszystkie zmiany wiary przechodzić musiał Wyspiański. To co mówił Brzozowski z innego zupełnie powodu, co innego mając na myśli, że

mara, z którą się walkę toczy, poczyna istnieć, i tu da się zastosować, da się nawet powiedzieć, że w takich momentach Wyspiański więcej niż wierzył w los... *„Am Ende hängen wir doch ab von Kreaturen, die wir machten"*...

Oczywiście nie wyczerpałem kwestyi, chciałem tylko zaznaczyć, że los bywał dla Wyspiańskiego czymś różnym, a nasi krytycy koniecznie chcą lepiej wiedzieć od Wyspiańskiego, czym on jest. Jedni gwałtem chcą przekonać nas o swej nowoczesności i wydać Wyspiańskiemu patent na „nowoczesność" i do tego stopnia psychologicznie wszystko tłómaczą, jak p. Mitarski, który twierdzi, że Odys nie miał talentu, nie mógł sił swych zużytkować i dlatego uciekł z Itaki! Inni czują się wyższymi, widząc, że Szekspir... i oni bez losu się obchodzą, a Wyspiański nie mógł. Próżną rzeczą jest chcieć rozwiązać tak zawiłe pytanie, jak to, dlaczego Wyspiański los na nowo do swej sztuki wprowadza. Na to złożyło się wiele bardzo przyczyn, ale jedną z tych była głęboko w Wyspiańskim tkwiąca tęsknota metafizyczna, wiara w metafizyczną wartość czy metafizyczny odpowiednik ludzkich spraw i czynów. Innego słowa, innej nazwy, jak los, na to nie miał. Pamiętamy, jak nam tłómaczył, dlaczego Szekspir zachował rolę ducha w Hamlecie. I on uszanował tradycyę, jak to, według jego interpretacyi, uczynił Szekspir ze starym teatrem, albowiem:

> „Najmniejsza szczypta tej wiedzy zaświatów,
> Jakąbykolwiek doszła do nas drogą,
> cokolwiek rzecze przez czyjebądź usta —
> sięga tajemnic. — że serce człowieka
> lgnie ku nim tęskno i grozę w nich widzi,
> choć rozum od nich ucieka".

Stefan Kołaczkowski.

Życie Montaigne'a.

W literaturze przedromantycznej życie pisarza rzadko zasługuje na baczniejszą uwagę, bo wprawdzie i wtedy, jak zawsze zresztą, indywidualność pisarza odbijała się w jego dziele, ale ono najbliższe „ja", to coby Francuz nazwał „poufnem ja" *le moi intime,* nie udzielało się dziełu niemal wcale: wystarczy porównać stosunek autora do dzieła u Corneille'a, naszego Skargi i tylu innych z tym samym stosunkiem u Musseta, Goethego czy naszego Słowackiego. Jest to też jedna z najważniejszych różnic między klasycyzmem a romantyzmem.

Oczywiście jak wszędzie tak i tu przeskok nie był gwałtowny; zanim romantyzm „oficyalnie" się pojawił, byli już pisarze, zapowiadający go i przygotujący zarazem. Było tak gdzieindziej, było i u nas [1]), tu i tam jako naturalny objaw ewolucyi indywidualizmu, który powoli i stopniowo torował sobie drogę. Człowiek bowiem nie odrazu był zdolny do tego jasnego rozumienia swego własnego wnętrza [2]); a jeźli nawet szczęśliwą intuicyą po-

[1]) Nie wiem, czy nie za mało się u nas ceni Pamiętniki Fr. Karpińskiego († 1828), wydane coprawda po śmierci autora, ale będące pierwszą autobiografią w nowym stylu, t. j. odsłaniającą ono „ja poufne" — *moi intime* — pisarza, którego to „ja" nie znajdujemy u Heidensteina, Orzelskiego (i u Cezara także); historycy literatury zdają się brać mu to za złe; n. p. St. Tarnowskiego wolałby w tych Pamiętnikach „większej obfitości i większej wagi ciekawych, historycznych szczegółów"; aleź w tem właśnie leży oryginalność i „nowość" dzieła i pisarza; tem on zapowiada i przygotowuje romantyzm. Gdyby pamiętnik Słowackiego (fragmentaryczny) był ukończony, nie znaleźlibyśmy w nim prawdopodobnie także onej „większej obfitości historycznych szczegółów". Prawda, że Karpiński, z natury już bardzo uczuciowy, pozostawał nadto pod wpływem Jana Jakóba Rousseau.

[2]) Ewolucya ta w miniaturze powtarza się w każdym z nas: dziecko zrazu mówi o sobie w trzeciej osobie i powoli dopiero dochodzi do uświadomienia sobie swojego ja.

chwycił tę i ową stronę życia wewnętrznego, to w przedstawieniu jej wolał użyć form zewnętrznych, stąd Erynnie, stąd ściśle biorąc cały politeizm, który jest uzmysłowieniem nie tylko sił natury, ale i energii, władz czy objawów duchowych. Był wprawdzie napis piękny na świątyni delfickiej: „Poznaj samego siebie!“ były przedewszystkiem wzniosłe koncepcye filozoficzne Sokratesów, Platonów, a na Wschodzie Buddy, ale to wszystko było widocznie za słabe na siłę rozpędową ku obudzeniu tego życia wewnętrznego, skoro ono tak słaby znajduje wyraz w literaturze, a nawet w sztuce; wszakże tak przedoskonała rzeźba grecka nawet jest przedewszystkiem świetna harmonią linii, że się tak wyrażę, zewnętrznych; twarz Apollinów belwederskich czy Venus milońskiej znamionuje mniej niż mało życia wewnętrznego. Prawdziwą szkołą tego życia wewnętrznego stało się dopiero Chrześcijaństwo, które pierwsze rozbudziło naprawdę sumienie, nie jako jakąś siłę z zewnątrz działającą, ale jako samo podłoże „ja“ ludzkiego, na którem to podłożu zacznie się odtąd bujnie rozwijać życie tego „ja“ ze wszystkimi swemi objawami i odmianami.

„Wyznania“ wielkiego Augustyna są pierwszym kwiatem wyrosłym na tej nowej glebie, ale to kwiat tak bujny, tak przedwcześnie, fenomenalnie rozwinięty, że współczesność i całe wieki następne niezdolne go były ocenić i nawiązać jego tradycyę. Średnie wieki całkiem co innego w tem dziele widziały aniżeli my dzisiaj. Dopiero gdy „ja“ ludzkie rozbudziło się w tej najbardziej nowoczesnej postaci pod piórem Jana Jakóba Rousseau, odczuło zarazem to prawdziwe ojcostwo idei tytuł tej pierwszej *par excellence* nowoczesnej autobiografii psychologicznej: *Confessions* jest identyczny z tytułem dzieła św. Augustyna: *Confessiones*.

Otóż między tymi dwoma słupami granicznymi były etapy pośrednie, bardzo nieliczne coprawda, ale znamienne; należy tu *Vita nuova* Dantego a także życie św. Teresy, pisane przez nią samą, której autoanaliza miejscami przypomina samego Augustyna.

We francuskiej literaturze postacią epokową jest tu Montaigne, którego sławne „*Essais*“ to nietylko dzieło filozoficzne niepospolitej miary, ale i autobiografia, albo lepiej autoanaliza własnego „ja“ i to tego poufnego „ja“, którego „poufność“ dochodzi do niebywałych w literaturze rozmiarów, Życie tego humanisty warto poznać, tak dlatego, iż ono da lepiej zrozumieć jego dzieło, jak i dlatego, że odsłania nam jeszcze lepiej ducha epoki, z której

ten niepospolity indywidualista wyszedł, epoki Odrodzenia, której znaczenia dla rozwoju ludzkości i kultury nigdy dość podkreślić nie można.

Michał Montaigne [1]) mówi wprawdzie o „przodkach“ swoich na zamku Montaigne'ów, ale była to próżność u ludzi ówczesnych aż nadto zrozumiała; naprawdę bowiem dopiero dziad jego Eyquem, kupiec z Bordeaux, nabył włości szlacheckie tego imienia i odtąd rodzina do nazwiska dodawała: de Montaigne, aż ten, który miał niebawem ród swój uświetnić, wykreślił zupełnił „dodatek“ Eyquem i podpisywał się lepiej brzmiącem: de Montaigne. Ojciec pisarza Piotr zamienił rzeczywiście łokieć na miecz i wyruszył ze swym królem na wyprawę włoską, skąd, jak tenże, przywiózł do kraju entuzyazm dla kultury Odrodzenia; wróciwszy odnawia, przebudowuje i ozdabia zamek Montaigne'ów, a nadto w domu swoim podejmuje z szczególną gościnnością ludzi nauki: „Mój ojciec — opowiada autor Szkiców — zagrzany onym nowym zapałem, z jakim Franciszek I. ukochał naukę i nadawał jej znaczenie, wyszukiwał z wielkiem staraniem i kosztem towarzystwo ludzi uczonych, przyjmując ich jak osoby święte i mające jakieś szczególne natchnienie mądrości bożej, słuchając ich zdań i rozmów jako wyroczni... z czcią i nabożeństwem“ [2]).

---

[1]) Życie Montaigne'a najgruntowniej opracowali Paul Stapfer: *La Famille et les Amis de Montaigne*, Paryż 1896, i Paul Bonnefon: *Montaigne de ses Amis*, 2 tomy 1898. Na tych dwóch dziełach też się opieram, przedewszystkiem jednak na dziele samego Montaigne'a, które cytuję według wydania: *Essais de Montaigne. Nouvelle édition... par M. J.—V. Leclerc.* Paris, bez daty, w 2 tomach. W języku polskim mamy tłómaczenie dobre Stanisława Lacka, lecz tylko w szczupłych wyjątkach: Michał Montaigne: Wybór Pism, wyd. Symposion. Lwów 1909. Dopiero niezrównany tłómacz rzeczy francuskich Boy-Żeleński dał nam znakomity przekład całego dzieła: Michała z Montaigne Pisma. Przełożył, wstępem i przypisami opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy) (Przekładu tekstów łacińskich dokonał w księdze I.-szej Edmund Cięglewicz, w II. i III-szej prof. Tadeusz Sinko). Kraków. Gebethner i S., Warszawa. Gebethner i Wolff 1917. Tytuł Essais brzmi tu „Próby“, co istotnie jest w duchu języka Montaigne'a; niemniej pozwalam sobie posługiwać się terminem: „Szkice“, jako tym, który dziś każdy Francuz w tem słowie wyczuwa, zwłaszcza że po prawdzie to i pojęcie naszego „szkicu“, wzięte w stosunku do wykończonego obrazu, odpowiada idei Montaigne'a. (O tłómaczeniu Boya pomówię obszerniej w artykule poświęconym dziełu Montaigne'a).

[2]) *Essais* II, 12. Że w słowach Montaigne'a niema przesady, dowodzi następujący fakt, podany przez uczonego hiszpańskiego Adolfa Bonilla y San Martin (w dziele p. t. *Luis Vives y la Filosofia del Renacimiento*, 1903, str. 23):

Matka pisarza, o której tenże znowu dyskretnie przemilcza, pochodziła z rodziny żydowskiej, przybyłej z Hiszpanii do Francyi. Czy sama była katoliczką, czy protestantką, niepewne. za drugą suppozycyą przemawia fakt, że rodzice wielkiego pisarza dwoje ze swych dzieci wychowywali w religii protestanckiej (syna i córkę). Ale z tego już wynika, że o głęboko religijnem, katolickiem wychowaniu w rodzinie tej mowy być nie mogło. Przyszły autor Szkiców (wychowany w religii katolickiej) nie wyniósł z domu w każdym razie tego, co zwie się nietolerancyą religijną.

Za to wychowanie pod względem intelektualnym odbywało się pod hasłem czystego humanizmu. Ojciec sprowadza nauczyciela Niemca, by ten malca od samego dzieciństwa uczył języka łacińskiego, nawet służba została poduczona łaciny na tyle, by dziecko wokoło siebie słyszało tylko język starożytnej Romy. Celem tego było ułatwienie chłopcu w przyszłości rozumienia kultury starożytnej, a także ułatwienie mu nauki w kolegium, gdzie od średniowiecza jeszcze łacina panowała. A o to ułatwienie nauki jak wogóle życia chłopcu dbał ojciec niezmiernie, co też jest rysem nader charakterystycznym tej nowej na owe czasy pedagogii. Jej źródło oczywiście w duchu Odrodzenia włoskiego, którego jedną z pierwszych zasad było udogodnienie, ułatwienie życia, niekrępowanie natury. Jak daleko sięgał ten system, dowodzi szczegół przez samego Montaigne'a podniesiony jako niezwykły (zwie go aż „zabobonem"); oto ponieważ niektórzy twierdzili, iż gwałtowne budzenie ze snu dzieci wstrząsa ich mózgiem, przeto malca budzono dźwiękiem muzyki. Tak samo co do nauki dbał ojciec o to, by syn „zasmakował we wiedzy i obowiązku wolą nieprzynagloną", ale „z własnego pragnienia" i by wychować tę młodą duszę „w zupełnej łagodności i wolności bez surowości i przymusu" (ks. I, r. 9). Z wdzięcznością też wspomina to syn i chwali się, że język łaciński posiadł „bez sztuki, bez książek, bez gramatyki albo reguł, bez rózgi i bez łez".

„Przechowywał się we Florencyi sławny egzemplarz Pandektów jako depozyt święty w szkatule niezmiernej wartości w starym Pałacu Republiki. Jeżeli jaki podróżny chciał podziwiać drogocenny kodeks, wtedy zakonnicy i urzędnicy z odkrytą głowę i świecą w ręku, mieli obowiązek mu go pokazać". Odrodzenie charakteryzował istotnie formalny kult starożytności i nauki wogóle, kult o cechach kultu religijnego.

Ale zato gdy wstąpił do szkoły publicznej (*Collège de Guyenne*), mimo że nauka szła mu stokroć łatwiej niż kolegom, mimo że jako syn wielkiego pana cieszył się szczególnymi względami wychowawców, niemniej rygor konwiktu mu bardzo dokuczał, i czy to z natury, czy z tego systemu wychowawczego, unikającego naginania woli, dość że chłopiec szkoły tej nie polubił i wyniósł z niej wspomnienie przykre. Podnosi tylko z wdzięcznością bystrość preceptora, który spostrzegłszy tę niechęć chłopca do przymusu, wykorzystał ją umiejętnie i „zaostrzał głód wiedzy", pozwalając jedynie ukradkiem smakować w książkach, które uważał za najlepsze. Gdyby był inną obrał drogę, w takim razie uczeń byłby zapewne, jak sam powiada, „wyniósł z kolegium jedynie nienawiść do książek, jak to czyni prawie cała nasza szlachta".

Już te pierwsze lata więc dają Montaigne'owi zamiłowanie do lektury, do książki, które miało tak bardzo zaważyć w jego życiu. Nadto ta znajomość języka łacińskiego jako ojczystego była zadatkiem na rozumienie literatury starorzymskiej u źródła. Niepotrzebuje on tłómaczyć autorów łacińskich, on ich czyta bez mała jak czytali współcześni Cicerona, wchodzi w ich ducha, w ducha starożytności; czyż podobna, by się tym duchem sam nie przyjął i to w epoce, w której kult tej starożytności był hasłem dnia? Młodość też utwierdziła w przyszłym autorze „Szkiców" już wrodzoną mu skłonność do wygody i niechęć do przymusu, z której wyjdzie cała jego filozofia razem z pedagogią, a po części także tolerancya religijna.

O studyach uniwersyteckich Montaigne'a wie się bardzo mało; że prawo skończył, to pewne, bo inaczej nie byłby piastował tak wysokich urzędów; nadto fachową znajomość prawa zdradza on na niejednem miejscu swego dzieła. Ale brak bliższych szczegółów o tem ze strony pisarza, który tyle i tak szczerze o sobie pisze, zdaje się wskazywać na to, iż studyum prawa nie musiało go nęcić, ciekawić poprostu, a tylko tą drogą można było do tego umysłu ciekawego, lubiącego wolność, trafić. Zdaje się, że jak w kolegium tak na uniwersytecie mniej chętnie przykładał się do programowych studyów, za to swoim ciekawym umysłem nabywał coraz nowe wiadomości, ułatwiające mu lepsze poznanie świata i ludzi i gromadził w ten sposób materyał do przyszłych „Szkiców", o których wtedy jeszcze coprawda nie myślał.

Pierwszym celem jego była na razie karyera urzędnicza. Nie była ona trudna dla człowieka majętnego, bo Franciszek I. oficyalnie ustanowił był sprzedajność urzędów sądowych; na każdy z nich była wyznaczona cena, i kandydat, ukończywszy potrzebne studya, kupował sobie następnie urząd w sądzie. Uczynił to i Michał Montaigne i oto znajdujemy go radcą sądowym w Bordeaux. Towarzystwo miał dobrane o niezwykle wysokiej kulturze umysłowej. Był to pierwszy ferment Odrodzenia; zapał do wiedzy ogarniał wszystkie warstwy oświecone i wśród „panów radców" było bardzo wielu takich, którzy poza służbowem zajęciem uprawiali naukę i literaturę. Wśród kolegów Montaigne'a byli zapaleni filologowie, historycy, zawodowi juryści, badający z zamiłowaniem prawo, a jeden z nich, taki Arnaud de Ferron, bada obyczaje miejscowe, t. j. inicyuje czy stwarza wprost dział nauki, który dopiero w wieku XIX. znajdzie właściwe uznanie. Nie były to zaś wyjątki, skoro Józef Scaliger twierdzi, że w Bordeaux na 60 senatorów było więcej niż 20 prawdziwych uczonych. Był zresztą między nimi sam La Boétie, umysł niepowszedni, a charakter niezwykły, którego przyjaźń z Montaigne'm miała się stać historyczną.

Otóż mimo takiego środowiska Montaigne niepodobał sobie w karyerze sędziowskiej. Przedewszystkiem nieodpowiadała ona jego usposobieniu, zwłaszcza temu zamiłowaniu wygody i zupełnej swobody, która wszędzie musiała doznawać przykrych ograniczeń. Nadto nie miał on daru wymowy (rzecz raczej rzadka u Francuza, wymownego z natury); sam powiada, że gdy miał w dłuższym ciągu przemawiać, musiał sobie rzecz pierwej napisać i następnie uczyć się na pamięć, co oczywiście czyniło zadanie sędziego jeszcze uciążliwszem. Potęgował to zaś jeszcze brak decyzyi [1]), zwłaszcza że zdawał sobie sprawę z ważności sprawy, t. j. wydawania wyroków, rozumiał ich konsekwencye. Dołączyła się zaś do tego ogromna wrażliwość człowieka przedelikaconego jeszcze wychowaniem, wrażliwość mająca swoje bardzo ujemne ale i niezmiernie dodatnie strony, jak to widzimy na dzisiejszem

---

[1]) Montaigne przypomina tu Goethego, który się na to samo skarży; u jednego i drugiego leżało to w naturze, ale było i skutkiem tego faktu, iż mieli życie raczej łatwe, które ich nie zmuszało do szybkiej, energicznej decyzyi. Nie potrzebowali oni jak tak niepodobny do nich Schiller „zniewalać losu". (Por. J. Wychgram: *Goethe und Schiller. Aufsätze zeitgenössischer Schriftsteller* II. Lipsk 1914).

społeczeństwie, którego jednym z pierwszych typów jest właśnie Montaigne. Ta wrażliwość mianowicie kazała mu lepiej odczuwać cierpienia fizyczne innych także ludzi i doprowadziła go do zrozumienia całego okrucieństwa tkwiącego w karach, na jakie skazywano wówczas winnych. Jest to jeden z najpiękniejszych tytułów do sławy autora *Essais* [1]): „Co do mnie — mówi on — wszystko co jest poza prostą śmiercią (w wyrokach sądowych), wydaje mi się czystem okrucieństwem"; a już słów nie ma dość silnych dla napiętnowania tortur używanych przy badaniu obwinionych, których wina jest wątpliwa: „Ileż to razy (taki torturowany) woli raczej umrzeć bez racyi aniżeli przebyć takie badanie dotkliwsze od śmierci, i które często przez swoją srogość wyprzedza karę i ją wykonuje" (II, 5).

Wszystko więc składało się na to, że Montaigne nie lubił swego zawodu, i dokumenta współczesne wspominają niejednokrotnie o „panu radcy", będącym „na urlopie" lub na misyach poza sądem. Te ostatnie mu się widocznie więcej uśmiechały, a i więcej odpowiadały jego zdolnościom, i pewnie nie bez osobistych starań dzieje się, że sąd wysyła go pod koniec r. 1561 do króla w sprawie rozruchów religijnych, jakie miały miejsce w Bordeaux i okolicy. Wiele przemawia za tem, że młody radca chciał skorzystać z tej misyi, by zwrócić na siebie uwagę wysokich sfer i przygotować sobie grunt do tego, co zwiemy karyerą. Faktem

---

[1]) W tem potępieniu tortur wyprzedrza Montaigne'a niezrównany zawsze św. Augustyn, wyprzedzający myśl ludzką na wielu polach: „Cóż powiem o torturach, które się zadaje oskarżonemu? Chce się wiedzieć, czy jest winny i zaczyna się go torturować; za zbrodnię niepewną nakłada się i to często niewinnemu, cierpienie pewne, nie iżby się wiedziało, że cierpiący popełnił zbrodnię, ale iż się nie wie, czy ją istotnie popełnił. W ten sposób ignorancya sędziego jest zazwyczaj przyczyną nieszczęścia niewinnego; a co jest jeszcze wstrętniejszem i nad czem by gorzkiemi łzami płakać trzeba, to, iż sędzia nakazujący torturę, z obawy uśmiercenia niewinnego, przez nieświadomość zabija tegoż niewinnego przez ten sam środek, którego używa, by go nie uśmiercić". (List 113, cyt. Ad. Hetzfeld: *Saint Augustin.* Paris, Lecoffre 1912, str. 163). Zdaje się, że i u wielkiego świętego wielką rolę tu odegrała niezwykła wrażliwość jego na cierpienie fizyczne. Opowiadając bowiem o latach dzieciństwa i nauce szkolnej, podnosi niejednokrotnie (i to w tak sędziwym wieku to przypomina z widoczną goryczą), jak dotkliwą dla niego była chłosta i jak się gorąco modlił, by być od niej wolnym i jak z tego starsi, „nawet sami rodzice", się wyśmiewali. (Wyznania I, 9). Do tej samej wrażliwości przyznaje się niejednokrotnie Montaigne.

jest, że zbliżył się do dworu królewskiego, z którym nie mógł się jakoś rozstać, skoro pobyt ten trwał aż do lutego r. 1563; towarzyszył nawet Karolowi IX. do Rouen i był obecny przy zdobyciu tego miasta, bronionego zawzięcie przez hugenotów, o czem jednak w swych „*Essais*" nie wspomina; uderzył go widocznie więcej inny szczegół, coby dowodziło, że myśl jego poczęła się już wówczas krystalizować. Oto znajdowało się właśnie w Rouen trzech rodowitych mieszkańców Brazylii; król z nimi rozmawiał, Montaigne także. Pytał ich skwapliwie o zwyczaje, obyczaje tamtejsze i zapewne już wtedy czynił refleksye, spisane później w „*Essais*" nad stosunkiem ich kultury do europejskiej, a to porównanie już wówczas pewnie nie było nader pochlebne dla Europy wieku XVI. i sięgało bardzo daleko w rejony tej filozofii natury, która miała tyle mieć powabu dla Montaigne'a, zanim się stanie alfą i omegą filozofii Roussa. Młody radca z Bordeaux zna dzieje odkrycia i nie bardzo chwalebnego podboju Ameryki i żałuje tych biedaków przybyłych stamtąd, że „porzucili łagodność swego nieba, by widzieć nasze... nie wiedząc, ile ich spokoju i szczęścia kosztować będzie poznanie zepsucia tutejszego"... Na zapytanie, co ich najwięcej u nas uderzyło, daje jeden z nich odpowiedź, że „to im się bardzo dziwnem wydaje, iż tylu ludzi brodatych, silnych i uzbrojonych, którzy byli wokoło króla... poddali się w posłuszeństwie dziecku i że też nie wybrano którego z nich, by rozkazywał. Po drugie (mają oni taki sposób mówienia, że nazywają ludzie połową jedni drugich), że zauważyli, iż są między nami ludzi pełni i najedzeni wszelkiego rodzaju wygodami, a że ich połowy są żebrakami u ich drzwi, chudzi z głodu i ubóstwa; i dziwnem im się to wydało, jako że te połowy potrzebujące mogły cierpieć taką niesprawiedliwość, że nie wzięły drugich za gardło, albo nie podłożyli ognia pod ich domy". A może i wtedy już uczynił sobie tę sceptyczną — bardzo wątpliwej wartości logicznej — uwagę, że „niema nic barbarzyńskiego i dzikiego w tym narodzie... tylko że każdy nazywa barbaryą to, co nie jest jego zwyczajem" i drugą refleksyę, mającą stanowić samą podstawę filozofii Montaigne'a, że „po prawdzie nie mamy innej wskazówki prawdy i słuszności, jedno przykład i pojęcia mniemań i zwyczajów kraju, w którym mieszkamy". W spostrzeżeniach swych zatem sprowadza rzecz do kwestyi ogólnoludzkich, uderza go nietylko to, czem owi Brazylijczycy różnią się od Europejczyków, ale

umie przedewszystkiem dopatrzeć się tego, co mają z nimi wspólnego i co mimo tylu różnic czyni ich ludźmi, jakimi jesteśmy wszyscy. „Ale co stąd? — woła z niezrównaną złośliwością — nie noszą przecie spodni!“ Sceptycyzm ten i złośliwość posuwa jeszcze dalej, gdy z powodu ludożerstwa owych plemion powiada: „Myślę, że większem jest barbarzyństwem jeść człowieka żywego aniżeli umarłego, rozrywać torturą i męką ciało jeszcze pełne czucia, kazać je piec powoli, kazać je kąsać i dręczyć psom i świniom (jak to nietylko czytaliśmy, ale widzieli w świeżej pamięci, nie między dawnymi nieprzyjaciółmi, ale między sąsiadami i spółobywatelami, a co gorsze, pod pozorem pobożności i religii) aniżeli je piec i jeść, gdy już umarło“ (I, 30).

Alluzya to przejrzysta do walk religijnych podminowujących właśnie całą Francyę. Sfery rządzące były wtedy raczej pojednawczo usposobione. Zasadą znakomitego kanclerza L'Hopital'a było „ani zła nie drażnić zbytnią surowością ani też go nie powiększać pobłażaniem“. Ale namiętności religijne były zbyt silne, a protestanci zwłaszcza, gdzie tylko czuli się na siłach, choćby nawet w mniejszości, otrzymawszy pewne ustępstwa, chcieli zaraz większych i zdobywali je sobie gwałtem, burząc ołtarze, obrazy w świątyniach i klasztorach katolickich nawet tam, gdzie im pozwolono odbywać nabożeństwa i nawet odstąpiono na ten cel mniej uczęszczanych paplic i kościołów. To zaś podrażniło i wreszcie roznamiętniło katolików i cicha wojna domowa na tem tle wrzała niemal w całym kraju. Charakter jej był inny niż w sąsiednich Niemczech, bo nie było we Francyi udzielnych książąt, jednoczących partye i prowadzących formalną wojnę; nie było tu też prowincyi rdzennie i wyłącznie protestanckich, ale zato wszędzie niemal katolicy i protestanci mieszkali obok siebie i ciągle się wzajemnie razili, drażnili i stąd na ogół było we Francyi masowego rozlewu krwi z powodu religii znacznie mniej niż w strasznych wojnach religijnych innych krajów, ale z drugiej strony w tych ostatnich, gdy raz już kwestya religijna w ten lub ów sposób została załatwiona *(cujus regio ejus religio)*, jednostki pewnego wyznania, grupując się w jednej prowincyi, nie utrzymywały ciągłych bezpośrednich stosunków z jednostkami drugiego wyznania, uspokajały się więc, nie mając przeciwnika koło siebie, w swych namiętnościach religijnych, w swej agresywności i z czasem (był to wiekowy proces psychiczny) stały się gruntem podatnym na praw-

dziwą tolerancyę — przeciwnie zaś we Francyi, gdzie skutkiem wspólnego pożycia na tem samem miejscu ludzi różnych wyznań, w dodatku przy żywym, wybuchowym temperamencie narodu te antagonizmy nietylko nie słabły, ale się rozogniały — niema tam wprawdzie trzydziestoletniej wojny religijnej, ale jest parowiekowe wrzenie na całej przestrzeni państwa, i to w każdej niemal duszy francuskiej — i to też (obok wielu innych czynników) sprawiło, że w tym kraju ta domowa wojna religijna właściwie nigdy nie ustaje, trwa przecie do dnia dzisiejszego.

Montaigne żył w epoce najsilniejszego rozognienia tej walki, a nadto jako bystry obserwator zauważył z łatwością, że bardzo często ambicya jednostek nie mających nic wspólnego z religią wyzyskiwała naiwność szczerze wierzących, ale przeważnie ciemnych mas. Toż były wypadki prawie zabawne, gdyby nie o rozlew krwi chodziło: Niejaki Damville, który się był odznaczył zapałem dla sprawy katolickiej, dowodził następnie protestantami, a książe d'Uzès, hugenota, który dopiero co wsławił się zapalczywem burzeniem kościołów katolickich, dowodzi potem oddziałami katolickimi przeciw hugenotom; a ultimatum Zgromadzenia w Montpellier jest podpisane przez naczelników protestanckich i wikaryusza generalnego tegoż miasta [1]). Wszystko to potęgowało w przyszłym autorze „Szkiców" sceptycyzm względem ludzi i rzeczy.

O misyi, w jakiej pojechał do Paryża, nie pisze wcale, zdaje się, że zbyt jej do serca nie brał, jak ongi „zadanych" lekcyi w kolegium; ale i ów główny cel pobytu tak długiego poza urzędem — zwrócenie na siebie uwagi dla karyery — nie był łatwy do osiągnięcia, a że młody radca od dziecka lubił tylko rzeczy łatwe — wysilać się na zdobycie trudnych nie umiał czy nie chciał — więc i to sobie niebawem sprzykrzył. Zapewne ubiegli go inni, także goniący za karyerą, ale wytrwalsi i energiczniejsi, jakich w otoczeniu wielkich tego świata nigdy nie brak.

---

[1]) Lavisse: *Histoire de France,* t. VI., str. 166. Montaigne miał później nieraz poznać z bliska tę stronę rzeczy, zwłaszcza gdy pośredniczył w sporze między królem Navary a księciem Guise; o tych przywódcach partyi religijnych wyraził się w rozmowie z historykiem de Thon, że co do religii, którą obaj się popisują, to piękny pozór dla pociągnięcia za sobą swego stronnictwa; ale interes religii nie obchodzi ni jednego ni drugiego... uczucia te poznał on (Montaigne) u tych książąt, gdy się zajmował ich sprawami". *Mémoires de la vie de Jaques-Auguste de Thou.* Rotterdam 1711, str. 136. Cyf. Bonnefon, s. c. str. 161).

Powrócił tedy do Bordeaux z niczem — a raczej z nowym zapasem wrażeń i spostrzeżeń, a więc obfitym materyałem do przyszłego dzieła, ale zniechęcony do karyery dworskiej i do sądowej, i było do przewidzenia, że tę ostatnią porzuci prędzej czy później. Zdecydowała go do tego kroku ostatecznie śmierć kolegi w zawodzie i ukochanego przyjaciela La Boétie. Przyjaźń ta trwała bardzo niedługo a zajmuje w życiu Montaigne'a rolę podobną jak miłość u innych pisarzy czy ludzi w ogólności.

Przedewszystkiem mimo wszelkich teoryi „*Essais*", mimo rad dawanych innym, że „trzeba się udzielać ale nie oddawać" i zapewnień, że to było jego zasadą w życiu, myśliciel i tu jest nieszczery, bo naprawdę był lepszym od swojej teoryi, miał wiele i to silnych uczuć w sercu [1]). Ojca kochał bardzo i piękny tej miłości synowskiej dał wyraz, a stratę jego odczuł głęboko. Podobnie i z żoną się miało. Małżeństwo jego nie było romantycznem ni romansowem. Do kobiet zresztą Montaigne miał z natury pewne uprzedzenie, nadto małżeństwo krępowało jego swobodę, tę wolność, którą cenił sobie ponad wszystko, stąd to powiada, że „wzdrygałby się pojąć za żonę samą Mądrość, gdyby ta go chciała". Ale z drugiej strony obserwował życie i naturę ludzką pogłębił jak mało kto w świecie, zauważył więc, jak sam powiada, że ci co w bezżeństwie żyją i ci co w małżeństwie, podobni są do onych ptaków na drzewie i onych w klatce, pierwsi chcieliby być na miejscu drugich, a drudzy na miejscu pierwszych. Filozof nie łudzi się, nie szuka on w małżeństwie szczęścia, ale spełnia akt społeczny, zwyczajem uświęcony, bo „nie żeni się człowiek dla siebie, cokolwiek by kto mówił, żeni się równie albo albo więcej dla potomności, dla swojej rodziny". Montaigne o żonie swej ledwie wspomina, ale nie wolno z tego wnosić, jakoby był z nią nieszczęśliwy lub jej wcale nie kochał. Jest to znowu owa nieszczerość teoretyka, piszącego o sobie, który niechętnie przyznaje się do uczuć niezgodnych z jego filozofią życia. Szczy-

---

[1]) Ma się wrażenie, że w Montaigne'u dokonało się na dnie duszy rozumowanie, wyrażone później przez Schillera: „Aby nic nie stracić, winnoby się na sobie wymódz, aby swego serca do niczego nie przywiązać. Ale któż nie będzie wolał raczej cierpieć aniżeli nic nie kochać?" (List do Fryd. Cotty, 18. stycznia 1796). Tylko że autor Szkiców nie chce się do tego rozumowania przyznać jako zupełnie niezgodnego z jego filozofią. (Przywiązanie do Ojca okazał między innemi, tłómacząc na jego życzenie dość nudne dzieło Rajmunda Sebouda).

tem tej pozy (bo inaczej trudno rzecz nazwać w tym wypadku), to wzmianka o dzieciach, z których w wieku niemowlęcym stracił — jak pisze — „dwoje czy troje“. Otóż pomijając psychologiczne nieprawdobodobieństwo, by ojciec nie znał liczby swych dzieci, ale znaleziono gdzieindziej własnoręczne notatki autora „Szkiców“ o każdem z tych dzieci z osobna i to bardzo szczegółowe; a o miłości jedynej przy życiu zostałej córki dowodzą same *„Essais“*, zwłaszcza ta troskliwość i dobroć, z jaką ją wychowywał. Podobnie musiało być z żoną, skoro, jak sam to opisuje, gdy pewnego razu uległ wypadkowi w drodze, który o mało go życia nie pozbawił, pierwszy rozkaz, jaki wydał swoim ludziom to, „by podano konia mojej żonie, którą widziałem z trudnością przebijającą się przez drogę górzystą i niewygodną“. Wprawdzie Montaigne sam dodaje, że to była myśl raczej machinalna, aniżeli świadoma; ale czyż właśnie taki machinalny odruch dobroci i troskliwości nie lepiej świadczy o gruncie uczuć dla żony aniżeli ten sam akt spełniony świadomie, który równie dobrze mógłby być aktem wyrozumowanego poczucia obowiązku?

Lata małżeństwa jednak poprzedziła w życiu Montaigne'a kilkuletnia a sławna przyjaźń, z którą się już filozof nie kryje; mówi o niej i o przyjacielu szczerze, z wylaniem, prawie z namiętnością. „Gdy mi każą powiedzieć, dla czego go kochałem, czuję, że wyrazić się to może jedynie odpowiedzią: ponieważ to był on, ponieważ to byłem ja... Poza wszelkiemi memi słowami i poza tem, co mogę o tem w szczególności powiedzieć, jest jakaś siła nie do wytłómaczenia i fatalna, pośrednicząca w tym związku. Szukaliśmy się, nimeśmy się widzieli i przez opowiadania, któreśmy słyszeli jeden o drugim, a które na umyśle naszym robiły wrażenie większe, niż treść ich by to rozumnie usprawiedliwiała, myślę, że przez jakiś wyrok nieba“ (I, 11).

I któż to jest ów przyjaciel wielkiego pisarza? Postać to wcale niepoślednia i jeżeli w przyjaźni tej było coś ze samorzutnego uczucia, nie rozumującego, to jednak „ślepa“ ona nie była, przedmiot jej sam z siebie mógł pociągać i pociągał istotnie wszystkich, którzy go bliżej poznali, jak pokazuje znane nam wcale dokładnie życie Stefana de La Boétie. W przeciwstawieniu do Montaigne'a był La Boétie niezmiernie pilny, sumienny aż do drobiazgowości, nadto przedmiot swój i zawód naprawdę kochał, był zaś prawnikiem tak znakomitym, że już w 23-cim roku życia

(z dyspensą od wieku) został radcą sądu w Bordeaux i odnoszono się do niego w sprawach szczególnie ważnych czy trudnych. To nie przeszkadzało mu bynajmniej kształcić się i na innych polach; lubił poezyę, pisywał sam wiersze francuskie, łacińskie, nawet greckie. Więcej jeszcze niż literackiemi skłonnościami harmonizował z autorem „Szkiców" ideą tolerancyi religijnej; spisał on swe uwagi na ten temat, których jednak Montaigne nie przekazał potomności, znajdując w nich „sposób zbyt delikatny i oględny, by je wystawić na grube i duszne powietrze tak przykrej pory", jak mówi we wstępie do wydanych przez siebie pism przyjaciela. Co zresztą w tej kwestyi myślał, wypowiedział w pięknej przemowie przedśmiertnej do brata Montaigne'a, protestanta, którą to przemowę w całości przekazał nam autor „*Essais*": „Nie bądź tak ostry i gwałtowny — mówi tam umierający La Boëtie — zgódź się z nimi. Nie twórzcie bandy i ciała osobnego; złączcie się razem. Widzicie, ile ruin te niesnaski sprowadziły na to królestwo, a zaręczam wam, że sprowadzą jeszcze wiele większych!" Słowa te, powiedziane w r. 1563, spełnić się miały niestety w zupełności. Jeźli u Montaigne'a głównym motywem tolerancyi było uczucie ludzkości, to La Boëtie jest tu przedewszystkiem patryotą; młody humanista serdecznie odczuwał nieszczęścia swego kraju: „Nie! — mówi on w pięknym wierszu łacińskim opłakującym spustoszenie Francyi — nigdy nie będę mógł wyrwać z mego serca niedoli ojczyzny; wszędzie pójdzie za mną jej przybite oblicze i wciąż oglądać będę jej smutny obraz". A także niemałym czynnikiem w genezie idei tolerancyi u przyjaciela Montaigne'a był jego respekt dla cudzych przekonań i dla wolności osobistej jednostki. Bo jeżeli jaka myśl, to ta właśnie ożywia przedewszystkiem jego dzieło: „Rozprawa o dobrowolnem niewolnictwie", napisana jeszcze w czasach uniwersyteckich, poprawiona jednak, a może i gruntownie przerobiona później, którą dopiero wiek XVIII. wydobył na jaw i z autora uczynił apostoła wolności, poprzednika Rewolucyi. Jest to naprawdę deklamacya przeciw tyranii bardzo młodzieńcza, tchnąca reminiscencyami literatur starożytnych, której jednak autor bynajmniej nie brał bezwzględnie na seryo; Montaigne bowiem podnosi wielką lojalność swego przyjaciela, jego zamiłowanie porządku społecznego, poszanowanie wielkie władzy (I, 27), słowem, nie może być tu mowy o rewolucyoniźmie; szczerem jest tu tylko jedno, t. j. miłość wolności osobistej jednostki,

a że tę nietolerancya narusza, przeto La Boétie ją potępia. Do brata Montaigne'a wyraźnie mówi, że „nikogo by chętnie nie prosił, aby cokolwiekbądź uczynił wbrew swemu przekonaniu".

Jest też u młodego humanisty idea już humanistom włoskim, od Petrarki poczynając, nie obca, a tą jest idea powrotu do stanu natury. La Boétie zdaje się istotnie wierzyć, że ludzkość mogłaby żyć bez rządu, władzy, bez zrzeszania się, słowem, „w stanie natury", i że oczywiście ten stan byłby lepszy, dałby więcej szczęścia człowiekowi. Nowy to łącznik sympatyi autora tej rozprawy z wiekiem Roussa, ale i dowód zarazem, jak pod wpływem kultury starożytnej budzą się w odrodzonej nią ludzkości pragnienia czegoś lepszego, chęć reformy na wszystkich polach. To też jest jedna z głównych różnic między Montaigne'm a jego przyjacielem. Autor „*Essais*" wygodny, nie lubiący wysiłku, widzi zło, konstatuje je i to mu wystarcza; przeciwnie La Boétie; wprawdzie i on nie zrywa się do wielkiego czynu, do rewolucyi, ma za wiele zmysłu rzeczywistości, by wierzył w powodzenie; ale nie przechodzi nad faktem do porządku dziennego; owszem, zastanawia się nad sposobami zaradzenia złemu. Na tej ciekawej a sympatycznej postaci też widzimy wpływ Odrodzenia, sięgający tak bardzo daleko — na razie wprawdzie wstrzymany wypadkami dziejowymi, ale ostatecznie mający zaważyć tak bardzo w dziejach społecznego ustroju Europy.

Ideałem najdroższym sercu obu przyjaciół to sama przyjaźń. I to także było w duchu epoki. Ideał ten był wogóle drogi humanistom; wystarczy przypomnieć idealną przyjaźń, łączącą dwóch tak bardzo do siebie niepodobnych humanistów, jakimi byli Erazm z Rotterdamu i Tomasz Morus [1]). La Boétie powiada, że „przyjaźń to imię święte, to rzecz święta... ona utrzymuje się nie tyle dobrodziejstwami jak dobrem życiem. Co sprawia, że przyjaciel pewien jest jeden drugiego, to świadomość, jaką ma o jego nieskazitelności". Nie trudno tu oczywiście dostrzedz obok rzetelnego uczucia także wpływ pisarzy starożytnych, z których obaj czer-

---

[1]) Sławny humanista i męczennik Tomasz Morus tak pisze do Erazma: „Znasz mię dosyć, by wiedzieć, że nie jestem próżny, a jednak po prawdzie jest jedna ambicya, od której nie umiem się uwolnić i aż dziwne, jak słodko mię zachwyca myśl, że w najodleglejsze wieki uczynion będę sławnym przez przyjaźń, listy, księgi i portret Erazma". (Cyt. Henri Bremond: *le Bienheureux Thomas More*. 3. wyd. 1904, Lecoffre. str. 26).

pali wiele, w których obaj jako humaniści widzieli źródło mądrości życiowej.

La Boétie jednak obok tego uczucia przyjaźni miał i świadomie pielęgnował w sobie wiele innych uczuć i ideałów; kocha on cnotę; zadania moralne człowieka wydają mu się — przeciwnie niż Montaigne'owi — ważniejszemi od wszystkich innych: „szukam cnoty, pisze on do przyjaciela; tam gdzie ją spostrzegam, obejmuję ją z zapałem". Chciałby on i przyjacielowi te pojęcia wszczepić; znając go jednakże, wie, że ten lubi tylko cnotę łatwą, boi się wysiłku, pracy; przypomina mu więc podanie o Herkulesie na rozstajnej drodze i że „pan bogów tylko jednej pracy niczego nie odmawia. On sam nie w tchórzliwym spoczynku rządzi morzem, ziemią i sklepieniem Olimpu". I dalej nastaje na konieczność pracy użytecznej, która jedna czyni życie wartem życia: „Czemże jest istnienie dla człowieka nieużytecznego? Żyjąc podobny jest do tych, co leżą w grobie. On wyprzedza godzinę zgonu"... Kto wie, czy wpływ tego przyjaciela niezwykłego, miłośnika cnoty, nie sięgał dalej, niż dziś to się da dowodnie wykazać i niż Montaigne to sam przyznaje; czy mianowicie nie jego wpływowi trzeba przypisać, że ten niepośledni umysł nie zaśniedział w swej filozofii wygody, lenistwa, ale przecież znalazł wreszcie pracę, znalazł cel życia konkretny i zdobył się na czyn, którym są sławne w literaturze *Essais?* Nie mówiąc, że już sam fakt przyjaźni tak serdecznej ożywia niezmiernie to ciekawe dzieło, w którem autor jakby się wstydził uczuć żywszych, i zapewne byłoby ono znacznie zimniejsze, mniej sympatyczne, gdyby nie to ciepło przyjaźni, z którem to jedynem uczuciem autor się nie kryje, owszem wyznaje je szczerze i gorąco. Opis ostatnich chwil przyjaciela jest najpiękniejszą kartą całego dzieła Montaigne'a. Jest tam też drobny szczegół, dowodzący, jak to uczucie przyjaźni było naprawdę szczerem. Oto przyjaciel, czując się chorym na chorobę zaraźliwą, „iż znał moje usposobienie — powiada Montaigne — prosił mię, abym był z nim tylko krótkiemi chwilami, ale możliwie najczęściej", i dodaje te proste słowa: „już ja go nie opuściłem". Cała jego filozofia złożyła niejako broń przed tem pięknem uczuciem. Minęło wiele lat od tej chwili, gdy pewnego razu znalazł się Montaigne w miejscu, gdzie kiedyś bywał z przyjacielem i wtedy ogarnęło go takie wzruszenie, że słowa nie mógł wypowiedzieć. Wspomnienie to mimochodem rzucone, w swej

zwięzłości i prostocie mówi więcej od tylu innych pochwał przyjaciela i przyjaźni, z jakiemi się spotykamy na niejednem miejscu dzieła, a gdzie nieraz czytelnik się zastanawia, czy wszystko wyszło z serca autora, czy cząstka, i to znaczna czasem, nie ma swego źródła w reminiscencyach lektury autorów klasycznych, czy nie jest poprostu deklamacyą humanisty. Podobne zresztą refleksye budzą przemówienia samego La Boétie przed śmiercią. Pewnie, że w takich chwilach niepodobna człowieka tak szlachetnego posądzać o pozę i nie o tem tu mowa, ale jest ciekawem dla poznania ducha epoki, jak ten entuzyazm dla starożytnych autorów, to ciągłe obcowanie z nimi wpłynęło na sposób mówienia tych zapalonych humanistów. La Boétie cytuje sentecye łacińskie, a nawet greckie na łożu śmierci!

Nadto przemawia on, jak na konającego zwłaszcza, niezmiernie długo: „Cały pokój — opowiada przyjaciel — był pełen krzyku i łez, które jednak nie przerywały bynajmniej toku jego przemówień, które były długie“. Leży to oczywiście w naturze narodu francuskiego, który już w czasach romanizacyi Gallii dostarczył Rzymowi najznakomitszych retorów; humanizm więc rozbudził tylko tę w duszy narodu drzemiącą zdolność czy właściwość. Bo nie zawsze ona wyszła na dobre, ale zawsze wielką odgrywała we Francyi rolę — i w dziejach samej wymowy za św. Bernarda czy Bossueta lub mowców rewolucyjnych, później Lacordaire'a i innych — i co nie zawsze dobre wydało owoce w innych dziełach literatury pięknej, bo w tragedyi, a nawet w komedyi (Beaumarchais, Rostand) i w literaturze politycznej (J.—J. Rousseau), czasem nawet w powieści (Chateaubriand), w samej poezyi wreszcie (Victor Hugo): wszędzie napotykamy tu objaw wybitnie francuski, że pisarze różnych działów, i to wcale niepośledni, są zarazem, czasem nawet przedewszystkiem, mowcami — za czem pójdzie ów nastrój górny, patetyczny, który sprawia, że cudziemcom wydaje się on nieraz teatralnym, nienaturalnym, gdy tymczasem neprawdę jest on naturalny, bo leży w samej naturze tego narodu. Jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów pod tym względem jest właśnie ów obraz ostatnich chwil życia La Boétie'go.

Ta śmierć przyjaciela też uczyniła Montaigne'owi jego i tak mu niesympatyczną pracę zawodową do reszty nieznośną. Porzuca więc sąd i osiada na „zamku przodków“. Zostawszy po śmierci

ojca panem niezależnym, właścicielem bardzo znacznego majątku, zrazu zamyśla gospodarować, by powiększyć swe mienie, ale to mu się nie udaje; oczywiście wymagałoby to znowu pracy, a zatem wysiłku woli, zadania sobie gwałtu, a tego nie lubi Montaigne, więc i to zarzuca.

Ale co teraz? Montaigne nie był człowiekiem, dla którego życie mogłoby być próżnią; czuł, że czemś je wypełnić trzeba, które to uczucie, być może, podniecała pamięć i przykład zmarłego niedawno przyjaciela. I oto przypomina sobie Montaigne miłe wrażenia, doznawane przy czytaniu książek, które go zajmowały — a trzeba przypuszczać, że i po ukończeniu studyów do książek choć od czasu do czasu zaglądał — przypomina sobie tedy to przyjemne rozbudzanie własnych myśli myślami czytanych autorów, to obcowanie z myślicielami, którzy treść duszy swej złożyli w księgach i z którymi poprzez wieki może niejako rozmawiać, ucząc się w ten sposób metodą łatwiejszą, sympatyczniejszą od onej uprawianej w szkole; to rozszerzanie horyzontów swej wiedzy, swej myśli — i to w tak lekki sposób, niewymagający wysiłku woli — daje zadowolenie większe, a zwłaszcza trwalsze od wielu innych przyjemności życiowych. Zresztą i mniej tu zawodów, na jakie naraża się ten, co chce robić karyerę i ten, co za łaskami dworu się ubiega — owszem, księgi te uczą obojętności na podobne i inne przypadki życiowe, które wytrącają człowieka z równowagi, a Montaigne bardzo nie lubi być z niej wytrącony, lubi spokój, lubi wolność.

Tego procesu psychicznego dokumentem niezmiernie charakterystycznym jest obszerny łaciński epitaf, jakim już blizki autor *Essais* uwiecznia fakt, że „w roku Pańskim 1571, w 38-ym roku życia, we wilię kalendów Marca, w rocznicę swych urodzin Michał de Montaigne, oddawna sprzykrzywszy sobie niewolę izby sądowej i urzędów publicznych, czując się jeszcze rzeźkim, usunął się na ubocze, by spocząć na łonie mądrych panien *(doctarum virginum)* w spokoju i bezpieczeństwie; tu przebędzie dni, które mu pozostają do życia. Ufając, że los mu pozwoli ukończyć to mieszkanie, te słodkie przybytki ojcowskie, poświęcił je swojej wolności, swemu spokojowi i swoim wywczasom“.

Sam pomysł umieszczenia podobnego napisu stanowi w dziejach ewolucyi indywidualizmu nowoczesnego etap niezmiernie ważny; czuć, że romantyzm niedaleko. Nam Polakom przychodzi na

pamięć Gustaw z Dziadów, uwieczniający podobnym napisem swoją przemianę w Konrada. Prawda, że różnica jest znaczna. W celi bazyliańskiej młody poeta-kochanek myśl o sobie zamienia na myśl o drugich, cierpienie osobiste zawiedzionej miłości na cierpienie „za miliony“; na zamku Montaigne'ów mamy do czynienia z przemianą wewnętrzną niższego rzędu w hierarchii etycznej: grunt zostaje ten sam, t. j. myśl o sobie, o swojem zadowoleniu — tylko środki do celu się zmienią; były obserwator życia konstatuje, że środki dotąd przezeń używane, jak przez tylu innych, chybiają celu, że są to liczne odmiany niewoli osobistej, nic więcej, że zatem trzeba je odrzucić; jest to tedy logika oportunizmu, machnięcie ręką człowieka, który szukał zadowolenia własnego w jednem źródle, a nie znalazłszy go tam, idzie do drugiego. Zapewne że to drugie źródło odpowiadało stokroć bardziej konstrukcyi umysłowej pisarza, że ono właściwie dopiero odsłoniło jemu samemu twórczą sprężynę jego ducha, słowem, że dzięki tej przemianie Montaigne stał się sobą, t. j. autorem „Szkiców“; ale nie to było pobudką czyuu, nie autorstwu genialnych *Essais* chciał on poświęcić resztę życia, ale poprostu, jak sam mówi, „swojej wolności, swemu spokojowi i swoim wywczasom“. Różnica między Mickiewiczem a Montaigne'm ta przedewszystkiem, że nasz poeta był chrześcijaninem, dzieckiem etycznej kultury chrystyanizmu; francuski moralista zaś był humanistą, dzieckiem kultury Odrodzenia; kultura etyczna Krzyża, to kultura miłości dla drugich, poświęcenia; kultura etyczna Odrodzenia zaś, to kult własnego „ja“ w najszerszem tego słowa znaczeniu. (Dok. nast.)

P.

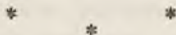
Notatki.

Ale nie podobna pominąć milczeniem jednego zjawiska, które występuje także na terenie Królestwa Polskiego. Jest niem przemożny wpływ, jak i strach, pospolity strach wywiera na działania polityczne. Zapewne byli politycy, podszyci zajęczą skórką. Ale ci musieli ukrywać ten strój w sposób dyskretny. Dzisiaj zaś podnosi się działanie pod wpływem strachu do godności politycznego dogmatu. A ludzie, którzy tam się rządzą, chcą uchodzić za narodowych męczenników, za bohaterów, którzy z powodzi ratują resztki ojcowizny.

Z początkiem wojny kazano nam żyć jednem uczuciem: uczuciem zemsty na wrogu, którym miała być tylko Rosya. Naród miał zapłacić za wiekowe krzywdy, za klęski i upokorzenia. Wszystkie swoje wysiłki miał zwrócić w jedną stronę, na Wschód. Nienawiść do Moskali miała być jedyną pobudką politycznego działania. Z zemsty zrobiono główne polityczne uczucie. Ale ten nastrój nie mógł trwać długo, dolegliwości wojny dały poznać innych jeszcze wrogów. Równocześnie zaczęła się u nas pseudo-

budowa państwa polskiego. Wtedy zaczęto budzić inne uczucia: wdzięczności dla wybawców. Tem uzasadniano wiele ustępstw, ofiar, któreśmy musieli ponosić. Że jednak powodów do wdzięczności nie było zbyt wiele, więc nie zdołano wzbudzić tego nastroju w silniejszych rozmiarach. Wygasł do reszty, jeżeli gdzie tlił jeszcze, po brzeskich traktatach. Uczucia, jakie zapanowały wtedy w całym narodzie, nie odpowiadały zamiarom naszych ugodowców. I obecnie próbują oni uczucie, które ich ożywia, przeszczepić całemu narodowi. Boją się o utratę władzy, którą zawdzięczają wyłącznie tylko zewnętrznemu poparciu. Boją się o to, by bankructwo ich dotychczasowej polityki nie było ogłoszone w zbyt przykry sposób. Boją się o to, by rozwój stronnictw nie doprowadził do społecznego układu, niekorzystnego dla interesów klasowych, przez nich reprezentowanych. A więc cały naród mimo wszystko, ma zwrócić się jeszcze silniej w kierunku ugodowym, w przeciwnym bowiem razie będzie o wiele gorzej!

W czem streszcza się cała ta polityka? Przypuśćmy, że opiera się ona na trafnych przesłankach, że zdoła ona uchronić kraj od większych rekwizycyi, większego jeszcze głodu i ucisku, choć nic nie popiera tego rozumowania. Przypuśćmy, że dzięki niej na okrojonem królestwie kongresowem budowa państwowych instytucyj pójdzie naprzód w cokolwiek szybszem tempie, a w Galicyi rządy wojskowe ulegną odroczeniu. A więc grzeczni, posłuszni Polacy dostaną nagrodę. Nie w postaci czegoś pozytywnego, ale przez to, że zamiast 50, dostaną 25 batów. Dobre i to, powie sobie niejeden, ale spytajmy, za jaką cenę uzyska się te „ustępstwa“. Czy tylko za to, że są grzeczni, że nic nie mówią? Przeciwnie, wymaga się od nich bardzo doniosłych aktów politycznych, które mają raz na zawsze skrępować nam swobodę ruchów, pozbawić nas niepodległości i zjednoczenia. W zamian za zmniejszenie rekwizycyi, pozwolenie ściągania podatków przy pomocy władz własnych, większą względnie swobodę życia politycznego, mamy zaakceptować akty, dla których określenie podział Polski nie jest czemś metaforycznem, lecz oznacza najściślej ich istotę. Oderwijmy się od chwili obecnej, a spojrzyjmy na te wydarzenia w historycznej perspektywie. W jakiem świetle wystąpią nasi „aktywni“ politycy tak w Galicyi jak i w Królestwie Polskiem. Czy historya o nich nie powie, że oni za cenę usunięcia dolegliwości wojennych na rok, dwa lub trzy, igrali z losem całego narodu, gotowi mię-



Prasa tak zw. „aktywistyczna“, zarówno w Królestwie Polskiem jak w Galicyi, przekonywała przez długi czas swoich czytelników, że całe nasze społeczeństwo jest nawrócone na aktywizm. Czytaliśmy co miesiąc korespondencye z Warszawy, według których znikły dawne sympatye „moskalofilskie“ czy koalicyjne, według których żywioły przeciwne tworzeniu armii w obecnych warunkach i wiązaniu się sojuszami z okupantami straciły wszelkie wpływy. Słowem, „zapanowała wszechwładnie“ idea N. K. N. Wszelkie poważne żywioły w Królestwie opowiedziały się za Radą Stanu, obecnie bez żadnych zastrzeżeń za Radą Regencyjną. Zamiast wymyślać Królestwu, narzekać na jego milczenie i zmateryalizowanie, kazano zachwycać się liczbą stronnictw i bloków stronnictw, które oświadczają się za oficyalną polityką galicyjską. Przyjmowano w Krakowie, w Kole Polskiem w Wiedniu reprezentantów tych zrzeszeń, uznając w nich odpowiedzialnych przedstawicieli opinii Królestwa.

Tymczasem przyszła sprawa pokoju z Ukrainą. Sprawa, która powinna była wywołać skruchę w obozie „aktywizmu“, gdyż ten

obóz najwięcej Chełmszczyzną wojował w walce z swoimi przeciwnikami, a budził nieusprawiedliwione nadzieje w społeczeństwie. Cios był silny, ale aktywiści strąceni z miejsca, które dotychczas zajmowali, probują, jak kot, skoczyć na cztery nogi. Kto winien takiemu obrotowi rzeczy? Społeczeństwo polskie, jego bierność, jego pasywizm. Wykazują obszernie w każdym numerze „Wiadomości Polskie", że zawiniła bezczynność społeczeństwa. Gdyby społeczeństwo nie zwlekało z utworzeniem armii, gdyby nie upajało się marzeniami o Polsce do morza, o zjednoczeniu, to rzeczy wzięłyby inny obrót. Pomińmy całą treść tego rozumowania, jego zasadnicze założenie, że narody wysługiwaniem się innym zarabiają na lepszy los. Nie wiemy, gdzieby dziś walczyła ta polska armia, czyby ona naprawdę broniła granic Królestwa i wolno jej było swobodnie prowadzić walkę zdobywczą na wschodzie. Na co innego w tej chwili chcemy zwrócić uwagę. A więc kiedy pisma pisały prawdę? — czy wtedy, gdy przedstawiały całe społeczeństwo w Królestwie Kongresowem, jako usposobione aktywistycznie, czy też obecnie, gdy narzekają na jego bierność, pasywizm i w niem samem szukają źródła obecnego obrotu wypadków? Przez parę lat zapewniano nas, że „pasywistycznie" usposobionym w Królestwie jest tylko bierny tłum, a wszystkie żywioły uświadomione odwróciły się od koalicyi. Obecnie, dowiadujemy się, jest inaczej. Obecnie liczna, ruchliwa prasa obozu aktywistycznego wyrzeka, że jej głos był głosem wołającego na puszczy. Daje do poznania społeczeństwu: nie poszliście za nami, teraz za to pokutujcie!

Sprawozdania.

Literatura polska od początków do powstania styczniowego.. Gabrjel Korbut — Książka podręczna informacyjna dla studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa polskiego. T. I. od w. X. do końca XVII. — Z zapomogi Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowym im. Dra J. Mianowskiego. Warszawa 1917. 8-o, str. 696 w. XVI.

Książka, która — choć jest owocem kilkunastoletniej mozolnej pracy — nie dozna rozgłośnego przyjęcia, nie stanie się wypadkiem dnia, tylko wejdzie po cichu między — Bóg widzi jak nielicznych w Polsce „studjujących naukowo dzieje rozwoju piśmiennictwa pol.“, ale tam zato stanie się odrazu pomocnicą nieodzowną, jak ręka prawa.

Lada czeladnik w dostojnym cechu historyków literatury polskiej wie, ile i jak żmudnej pracy trzeba włożyć, żeby się zorjentować w materyale, w literaturze przedmiotu, przygotować budulec zagadnienia; ile to trzeba się nakartkować po bibliografiach Estreichera, Finkla, Wierzbowskiego i pomniejszych, po katalogach bibliotek, żeby ostatecznie przebrnąwszy przez to wszystko, uczuć, że to nie koniec i że sumienie krytyczne nie jest jeszcze zaspokojone. Bo zawsze jeszcze pozostaje wielka niezbadana luka: czasopisma. Z utęsknieniem oczekujemy jakiegoś olbrzyma pracowitości, jakiegoś Estreichera II., któryby przebrnął przez gąszcz półtorawiekowego czasopiśmiennictwa i zestawił jego inwentarz.

Na bibliografie czasopism poczekać jeszcze przyjdzie spory kęs czasu. A zastąpić ją sobie samemu we własnym, szczuplejszym zakresie, praca trudna i niewdzięczna. Trudna, bo biblioteki nasze, choćby najzasobniejsze, zaopatrzone są w czasopisma bardzo cząstkowo, o ich komplecie żadna ani zamarzyć nie może; a niewdzięczna, bo ostatecznie i zebrawszy zapylone roczniki, całe tygodnie trzeba nieraz stracić na ich przeglądanie, a nie znaleźć dla siebie nic, lub tyle co nic. Dopiero przez mozolną, latami trwającą szperaninę tworzył sobie, kto cierpliwy, taką podręczną bibliografię, fundament własnej pracowni naukowej. I to każdy dla siebie i każdy od początku, bo dorobki zebrane przepadały oczywiście ze śmiercią uczonego. Tak zmarniały warsztaty naukowe Spasowicza, Tarnowskiego i co najgorsza: Chmielowskiego. — Chcieli taką bibliografię podać w druku wydawcy „Hist. lit. pol.“ Pilata, ale naturalnie podać mogli tylko opracowania co ważniejsze, a powtóre całe przedsięwzięcie utknęło niestety po **3** tomach na jakiejś mieliźnie.

Tę jedną z większych bolączek w organizacyi naszej pracy naukowej usuwa niemal całkowicie książka Korbuta. Z dzieła zakrojonego na 3 tomy wyszedł tom I., obejmujący okres czasu po koniec XVII. w. Wiek XVIII i XIX. w przygotowaniu.

Ściśle mówiąc, jestto bibliografja wydań i opracowań tworów literackich ułożona okresami, gatunkami literackimi i autorami. Okresów przyjmuje autor 3 (lit. średniowieczna, humanistyczna, barokowa), w obrębie każdego oddziela autorów łacińskich od polskich, prozaików od poetów, wyodrębnia pieśń, powieść, dramat, w literaturze reformacyjnej obozy: różnowierczy i katolicki. Na czele każdego poddziału bibliografia do całego okresu czy gatunku, poczem idą autorowie lub dzieła w układzie mniej więcej chronologicznym. Przy każdym krótka biografja, dalej rozumowana bibliografja wydań pism jego i to nietylko pierwodruków, z uwzględnieniem punktów spornych, wreszcie zestawienie opracowań historyczno-krytycznych, znowu grupami: monografje, życiorysy, charakterystyki twórczości, przyczynki — ogłoszonych zarówno w książkach, jak i po czasopismach. W ten sposób badacz dzisiejszy, pragnąc n. p. opracować twórczość jakiegoś, najniepozorniejszego choćby, *unius libri,* pisarza, ma całą pracę poszukiwawczą już zrobioną, znajdzie pozycje potrzebne zgromadzone na jednem miejscu. Ułatwienie istotnie nieocenione. Stale także wyławia autor, co przy dokonanym całkowitym bilansie dorobków nie było trudne — braki i desyderaty wydań i opracowań, wprost podaje podnietę do badań i inicyatywę czeladzi pracowników. Nie trzeba więc chyba dowodzić, że publikacya wywrze wpływ na kierunek i przyspieszy tempo prac badawczych nad dziejami liter. pol. Do tomu dołączono tablicę chronologiczną wypadków znaczących w dziejach piśmiennictwa, oraz potrójny indeks (autorów polskich, obcych i dzieł anonimowych).

Drobną skazą na ogromnym tym gmachu jest, że autor jedynie przy wcześniejszych i ważniejszych zabytkach i dziełach podaje miejsce przechowania, zaś przy przeważnej części pierwodruków, nierzadko unikatów, nie podał bibliotek gdzie je znaleźć można. Uczynił to co prawda w swej bibliografii Estreicher, ale jego zaznaczenia są przestarzałe i — nie trudno osobiście się przekonać — nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością. W omawianej książce brak to bądź co bądź dotkliwy.

Nakoniec słów parę o pytaniu, które dziełom jak niniejsze każdy zwykł najpierw stawiać: czy jest kompletne?

Otóż nasamprzód zaznaczyć trzeba, że materjał książki — choć wydana została na gwiazdkę 1917 r. — uwzględniony jest tylko po r. 1914, a wyjątkowo jedynie tu i ówdzie podaje się prace z r. 1915 i 16. To było nieuniknione i to każdy wyrozumie — (n. b. zapowiedziana przy t. III przedmowa do całości zapewne tę granicę — *ad quam* — wyraźnie zaznaczy) — zważywszy przewlekły czas trwania druku, i — co ważniejsza — ciężkie wojenne stosunki: ów „mur z żelaza“, chroniący Warszawę przed publikacyami naukowemi, choć nie są „wieścią... straszną jak zaraza“. Trudnoż żałować róż, gdy płoną lasy“, trudnoż dziś biadać, że np. źle się odbiło na książce nieuwzględnienie choćby takiej bibliografji pism X. Skargi, wydanej w Krakowie 1916 r., przez X. Otwinowskiego, a prostującej niejedno z tego, co tutaj autor podał na str. 396—9. I tak zresztą przypuszczać wolno, że autor prowadzić będzie pracę dalej i co parę lat podawać uzupełnienia w osobnych dodatkach.

Są także opuszczenia inne. Zbierając kłosy na tak ogromnym łanie, nie dziw, że tu i ówdzie autor jakiś z nich pominął. Sam zresztą zebrał w czasie druku i umieścił na końcu tomu 26 stronic takich uzupełnień. Pozatem możnaby na upartego, nawet nie zaglądając wiele do notat, wymienić jeszcze kilkanaście dalszych opuszczeń z przeoczenia. Miejsce na taki wykaz oczywiście nie tutaj. Zresztą i drukujące się dalsze tomy przyniosą niewątpliwie uzupełnienia do wieków poprzednich.

Drobne te skazy nie zmienią ani w cząstce faktu, że w książce Korbuta otrzymał ogół pracowników nad historją literatury polskiej dzieło monumentalne, o wartości na całe dziesięciolecia niespożytej: — drzewo genealogiczne polskiej twórczości duchowej. *St. P.*

* * *

Prolegomena do Pana Tadeusza. S. Windakiewicz. Nakładem Gebethnera i Spółki. Kraków 1918, str. 226.

We wstępie zaznacza autor, że chodzi mu o „analityczne studjum" nad naszą epopeją, odmienne od „dotychczasowych a bardzo świetnych" jej ocen. Jakoż w dalszym ciągu swej pracy poddaje kolejno badaniom pomysł utworu, jego tło etnograficzne i historyczne, oraz stosunek do literatury polskiej i wszechświatowej. W rozdziale I-ym walczy prof. Windakiewicz z hipotezą o stopniowej przemianie treści Pana Tadeusza i o dobieraniu coraz to nowych motywów, które miały fabułę zrazu skromniej zakreśloną rozszerzyć w obraz bujniejszy i rozleglejszy, jaki obecnie to dzieło przedstawia (str. 5) i wypowiada zdanie iż „plan Pana Tadeusza od rozpoczęcia pisania nie ulegał prawdopodobnie żadnym zasadniczym zmianom" i że Mickiewicz „biorąc się do pisania Pana Tadeusza miał zamiar dać nam prawdziwą epopeję, a nie małą wierszowaną powiastkę" (str. 7). Pod koniec jednak rozdziału opierając się o korespondencję poety, mówi nam autor, iż „Pana Tadeusza zaczął Mickiewicz rzekomo jako sielankę w stylu Hermana i Doroty, a skończył w nastroju „poważnej epopei"" (str. 23); w rozdziale zaś VIII-ym wraca raz jeszcze do tej kwestji dodając: „Jak wspominaliśmy, Pana Tadeusza zaczął pisać Mickiewicz z myślą o powiastce sielankowej w rodzaju Hermana i Doroty, a skończył jako epopeję" (str. 168). Otóż pomiędzy przytoczonymi powyżej ustępami istnieje pewna sprzeczność, która mąci tok argumentacji i siłę jej osłabia. W rozdziale II-gim i III-cim zajmuje się prof. Windakiewicz tłem krajoznawczem epopei, źródłami z których do tła tego materjał czerpał poeta i stosunkiem jego do pamiątek przeszłości. W rozdziale IV-tym, tradycji ustnej poświęconym, mówi o wpływie opowiadań H. Rzewuskiego i St. Witwickiego na Mickiewicza, w rozdziale zaś V-tym daje przegląd tych w poezji polskiej poprzedników poety, których utwory, zdaniem jego, przy pracy nad Panem Tadeuszem zaważyły. Tłem historycznem epopeji zajmuje się rozdział VI-ty, rozdział zaś VII-my mówi nam o motywach powieściowych, które poeta nasz literaturze europejskiej zawdzięcza. Po przelotnej wzmiance o Richterze, najdłużej zatrzymuje się prof. W. przy Walterskocie z ogromnym nakładem pracy, sumienności i literackiej erudycji, czyniąc przegląd pomysłów i sytuacji, w których wpływ i angielskiego poety i niektórych jego naśladowców, jak Coopera i Mangoniego się zaznacza. W rozdziale VIII-ym prowadzi autor dalej badania porównawcze.

We wstępie, pomysły sielankowe przeglądając, odnajduje pokrewieństwo niektórych sytuacji P. Tadeusza z sielankami Vossa z Paul et Virginie Bernardin de St. Pierra. Zestawiając dalej bohatera naszej epopei z Hermanem Goethego, zwraca uwagę na genetyczny związek i w pomyśle i w technice pomiędzy utworem poety niemieckiego i Mickiewicza: „...oprócz wskazówek technicznych Goethe nasunął naszemu poecie także ideę zasadniczą, że na tle poematu sielankowego, uprawianego z lubością z końcem XVIII-go wieku i z początkiem XIX-go, możnaby stworzyć prawdziwą epopeję narodową". Dalszy ciąg rozdziału poświęcony zestawieniu Pana Tadeusza z Wiesławem. Georgikami, z Ogrodami Delila, Rolnictwem Tomaszewskiego, poczem przechodzi autor do motywów epicznych, przeprowadzając porównanie niektórych ustępów naszej epopeji z Iliadą, Odyseą, Enejdą, Orlandem, Jerozolimą wyzwoloną i Don Kiszotem; wreszcie w rozdziale IX-ym kończy swą pracę zsyntetyzowaniem wyników poprzednich badań.

W dziele prof. W. podziwiamy, jak zwykle, szeroki horyzont i wysoki poziom literackiej kultury. Bardzo wielką część jego badań stanowi materyał, bez uwzględnienia którego, niepodobna sobie wyobrazić budowy dalszych prac nad P. Tadeuszem. Nie na wszystkie jednak wyniki tych badań zgodzić się możemy. Prowadząc je, winniśmy rozróżnić dwie grupy zasadniczo odmienne, a więc podobieństwa, jakie zachodzą pomiędzy pomysłami artystycznymi danych autorów i podobieństwa, jakie odnajdujemy pomiędzy pomysłem artystycznym z jednej strony, a dziełem naukowem, informacyjnem z drugiej, które to dzieło może zawierać materjał rzeczowy wspólny z danym poetyckim utworem. Otóż już przy pierwszej grupie winniśmy pamiętać, że nie każde podobieństwo jest koniecznie pokrewieństwem, że bywają analogje czasem pozorne tylko, czasem przeciętnością pomysłów lub też zbliżeniem ogólnej sytuacyi wywołane. I tak n. p. scenka karmienia ptactwa leśnego z Paul i Wirginie i scenka karmienia ptactwa podwórzowego przez Zosię w P. Tadeuszu — pozornie mechanicznym motywem związane, w gruncie rzeczy są tak odmienne, z nalotem sentymentalnego sensualizmu u francuskiego poety, ze śnieżystą białością nastroju u Mickiewicza, że naszem zdaniem o zależności genetycznej pomiędzy niemi nie może być mowy. A czy Wojski bez Coopera i Goethego nie umiałby wytropić uchem niedźwiedzia, czy potrzeba było słów ojca Hermana, wypowiedzianych przed proboszczem o pragnieniu ożenienia syna, by stryjaszek Soplica zapragnął Tadeuszowi sprawić wesele? Tu pozwalamy sobie postawić znak zapytania. Jeszcze większą ostrożność winniśmy zachować przy drugiej grupie zestawień. Jeśli bowiem poeta niejednokrotnie czerpie treść rzeczową swych pomysłów z dzieł naukowych, ze zbiorów informacyjnych, to nie zawsze m u s i to czynić. Często księgą mądrości staje mu się życie samo. I dlatego, gdy prof. W. twierdzi, że Mickiewicz czerpał materyały do opisów zaścianka, do stroju Zosi i Protazego i do wielu, wielu szczegółów domowego życia i obyczaju Litwy z dzieł Gołębiowskiego, to i tu ośmielam się zapytać. Dlaczego uczony badacz każe wędrować poecie do tego, co stanowiło jego najczystsze kochanie, do kraju lat dziecinnych, nie poprzez wspomnienie osobiste, lecz przez nudne etapy cudzej erudycji?

M. Dynowska.

Od Redakcyi.

Z powodu trudności technicznych, ukazanie się numeru „Roku Polskiego“ za luty i marzec b. r. musiało uledz zwłoce. Numer za luty i marzec wydajemy w zwiększonej objętości.

W celu skompletowania roczników, Redakcya zwraca się z prośbą do PP. prenumeratorów, którzy roczników nie zbierają o nadesłanie pod adresem Redakcyi zeszytu 2-go „Roku Polskiego“ z marca 1916 r. Za każdy nadesłany egzemplarz, Redakcya zwróci pocztą należytość w kwocie 2 koron.
